№ 34. Warszawa, dnia 20 (8) Sierpnia 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Za dobrym przykładem. — Pożar teatru czeskiego p. M. R. — Signorina Gioventu Swatopluka Czecha, przekład z czeskiego, p. F. Now. — Wolna Szkoła p. Zg. — Pomór krakowski p. Prawdzica. — Sekciarstwo w Rosyi p. R. — Jerzy Stefenson (dokończenie) p. S. Cz. — Piśmiennictwo polskie: F. A. Lange. Historya filozofii materyalistycznej, przełożył F. Jezierski. Henryk Müldner. Z nad brzegów morza północnego. Dr. Gustaw Fritsche. O magnetyzmie zwierzęcym p. W. — Historya włościan francuskich. — Liberum veto. — W Perspektywie — Tydzień polityczny p. H.—Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

ZA DOBRYM PRZYKŁADEM.

W przeszłym numerze *Prawdy* powtórzyliśmy list publiczny p. E. Orzeszkowej, który po za osobistym jej interesem potrąca nader ważną kwestyę. Jak wiadomo, *Kuryer Warszawski* wydrukował powiastkę wbrew woli autorki, która skutkiem doznanej w tem piśmie obrazy i napaści na całą działalność postępową, zażądała zwrócenia rękopisu. Czy ten drugi wzgląd nie jest naszym jedynie domysłem i czy on wpłynął na postanowienie p. Orzeszkowej — stanowczo rzec nie możemy. Wspomniany list zdaje się do przypuszczenia tego upoważniać, w każdym zaś razie nie przeszkadza nam rzucić kilku promieni światła na udział sił liberalnych w prasie zachowawczej lub wstecznej oraz na ich łączność.

Przed laty kilkunastu, w chwili wyłaniania się wolnomyślniejszego ruchu istniało u nas bardzo ściśle ugrupowanie i rozgraniczenie nietylko pism, ale ich współpracowników. Autorowie występowali niezmiennie w szeregach tego lub innego obozu, nie zaciągając się do służby pod chorągwią przeciwną. Pomału wszakże środek dziennikarskiej lewicy, oddaliwszy się od jednego krańca a zbliżywszy do drugiego, rzucił nad przepaścią most, po którym obie strony zaczęły wzajemnie na swoje pola przechodzić i coraz częściej się mięszać. Wtedy to ujrzeliśmy postępowców śród konserwatywnej drużyny i naodwrót zachowawców między „radykałami." Na to pomięszanie się żywiołów wpłynęły główne dwie pobudki: chęć wywarcia szerszego wpływu moralnego i możność osiągnięcia z pracy literackiej większych zysków materyalnych. Mimo nagłego rozrostu tak zwanej „młodej prasy" zajmowała ona w stosunku do „starej" grunt bardzo niewielki. Ogólna liczba jej abonentów wznosiła się zaledwie do 5,000. Wielu też młodych autorów, którzy chcieli przemawiać do szerszego koła czytelników, przenosili pismo zasadowo-nieprzyjazne, ale posiadające kilka tysięcy prenumeratorów, nad pokrewne, ale czytane zaledwie przez kilkuset. Niektórzy przytem usprawiedliwiali swoje odstępstwo szczerym lub udanym walenrodyzmem. Nasza sfera społeczeństwa — mówili oni — jest już zdobyta; chcąc rozszerzyć jej granice, trzeba przejść na pole przeciwników i ich zagony obsiewać postępowem ziarnem. Rzeczywiście tak robiono. W najwsteczniejszych pismach, obok artykułów, przypominających epokę, w której zaledwie wody oddzieliły się od lądów biblijnych, spotykaliśmy prace całkiem wolnomyślne, czasem nawet przemycające surowy materyalizm, których ostrej niezgody ze swemi zasadami naiwne redakcye wcale nie dostrzegały. Naturalnie woń tych kwiatków w stęchliznie bukietów słabła albo zupełnie nikła, walenrodowi jednak ogrodnicy pocieszali się złudzeniem, że czujny nos ją w nich odnajdzie. Tym moralnym pobudkom dodawała ciągle zachęty korzyść materyalna. Pisma postępowe, rozporządzające skromnymi środkami, nie mogły wynagradzać autorów tak, jak „stara prasa." Dla miłego grosza więc, ten i ów, zmuszony żyć nietylko samym duchem, sprzedawał swe prace zamożniejszemu kupcowi i zamykał oczy na ich otoczenie. Znaliśmy autorów, którzy bezimiennie lub pod pseudonymami chłostali w „młodej prasie" te same pisma z przekonania, w których pracowali z potrzeby. Wreszcie walka ucichła, nieprzyjaźń stronnictw złagodziła się, nastąpiło pewne zawieszenie broni, pierwszą partyę szachów skończono i pomięszano figury białe z czarnemi tak, że zaledwie kilka pozostało na swoich polach.

Cokolwiekbyśmy obu wspomnianym pobudkom, tłomaczącym rozproszenie się postępowych żywiołów, zarzucić mogli, przyznać trzeba, że one są... ludzkie. Trudno karcić kogoś za to, że wymaga szerszego obiegu dla swych myśli i zaspokojenia potrzeb materyalnych. Ale gdybyśmy nawet zgodzili się na to usprawiedliwienie, nie ulega wątpliwości, że ono dziś straciło swoje racye. Tak zwana „młoda prasa" jako ściśle zwarty szereg istnieć przestała, niektóre jej organy wymarły, a natomiast rozwinęły się inne, które ani kołem swych prenumeratorów, ani zasobami materyalnemi nie ustępują zachowawczym. Ich czytelnictwo wzrosło znacznie i dało im środki, wyrównywające funduszom bardzo zamożnych pism konserwatywnych. Dlaczegoż więc siły postępowe, zyskawszy pożądany grunt, nie znajdują się w skupieniu? Dlaczego działają w tych samych ogniskach, które zniesławiają to, co dla nich jest drogie? Z prawdziwym smutkiem patrzymy na umysły zdolne i obowiązane pracować dla rozwoju organów postępowych, a służące wstecznym, rozpuszczające swe myśli i uczucia w jadzie ich nienawiści do wszelkich objawów duchowego odrodzenia, podpierające swemi ramionami inkwizytorskie tortury i kryminały niepodległej wiedzy. W każdym pochodzie biegnący naprzód są mniej liczni od wlokących się z tyłu; czyż więc ta wyprzedzająca innych garstka powinna się rozpraszać i zwalniać kroku dla zrównania się z kulawymi lub opornymi? Dziś żywioły umysłowo wyzwolone, zamiast stworzyć jeden potok, powsiąkały kroplami w konserwatywne gąbki. I dlatego tak bystro rwący się dawniej strumień postępu osłabł obecnie w literaturze, kiedy znalazł szersze ujście

w społeczeństwie. Nie pragniemy kast, murów, przepaści, zamkniętych kół, nie żądamy, ażeby każdy autor zawarł swą działalność w łożysku paru pism jednego kierunku i nie rozpościerał jej na inne, ale sądzimy, że główny punkt ciążenia ich prac spoczywać winien w tych organach, które są najwierniejszym wyrazem ich dążeń. Inaczej każda idea, każde godło, każda zasada będzie pochodnią ustawicznie gasnącą i na nowo zapalaną, gdy znajdzie się wytrwała ręka, która ją przed narodem poniesie. Stronnictwa, grupy społeczne—nawet bez biur, statutów i prawnego przedstawicielstwa—powinny utrzymywać ciągłą spójność w swem łonie i nie być przypadkowo spędzoną stadniną, rozbiegającą się, gdzie lepsza trawa rośnie. Obraza pani Orzeszkowej w piśmie, które z jej utworów korzysta, nie jest w naszej prasie ani wypadkiem pierwszym, ani wyjątkowym. Co dzień prawie spotykamy w różnych pismach obelgi, potępienia i krzywdzące cienie, rzucane na kierunki i stanowiska, reprezentowane przez ich własnych współpracowników. Czy podobna obojętnie znosić wymysły i przygryzki w sąsiedniej szpalcie, dotykające przekonań, które wyznajemy? Niewątpliwie, dzieje się i na odwrót, nieraz i autorowie konserwatywni w postępowych kolumnach znoszą ukłucia swych sąsiadów, ale to przykład nie do naśladowania. Przykładem takim być musi tylko uczciwy czyn Orzeszkowej, która odmówiła swego pióra pismu, zniesławiającemu jej działalność i ten sztandar, którego znamię ona nosić pragnie.

Naturalnie uwag powyższych nie puszczamy w świat pod adresem ludzi, którzy myrrę i kadzidło ofiarują tylko bogom złoto dającym, dla których każda służba jest dobra, jeśli jest korzystna. Jak w każdem piśmiennictwie, tak i w naszem są autorowie pilnujący przedewszystkiem, kto ich najwyżej zalicytował, czyjej klamki najbezpieczniej się uczepić i z jakim wiatrem najpomyślniej żeglować można. Jestto to miedziana, srebrna lub złota moneta, obiegająca z rąk do rąk, obojętna na to, w czyjem posiadaniu się znajdzie. O tę mniej lub więcej wartą walutę literacką wcale nam nie chodzi, pomimo że ona czasem odbija na sobie stępel wolnomyślny. Słowa nasze stosujemy do ludzi przekonań stałych i głębokich, którzy nie przedzierzgając się w coraz inne postacie, służą za umeblowanie konserwatywnych dzienników, zamiast być krwią organów liberalnych. Walka ważyć się będzie zupełnie inaczej, jeżeli żywioły liberalne nietylko złożą swe prace na szalę postępową, ale je zdejmą z wstecznej. Tymczasem dziś przedstawia ona dziwny obraz starcia, w którem zapaśnicy wolnomyślni dostarczają broni i posiłków swym przeciwnikom. Nie wątpimy o zwycięstwie, ale pragnęlibyśmy je przyspieszyć. Idee postępu tryumfują zawsze, tylko ich przedstawiciele mogą być pokonywani. Łączność zaś i solidarność tych przedstawicieli potęguje ich siłę i odwraca porażki, co jest pożądanem nietylko jako zadowolenie osobiste, ale jako przybliżenie chwili zwycięstwa czynników, działających w imię przyszłości.

POŻAR TEATRU CZESKIEGO.

Praga, 14 sierpnia.

Trzeba było wśród tych ludzi żyć, widzieć ich walkę, ich mrówcze zabiegi około mozolnie wzniesionej świątyni życia narodowego, ich dumę z pokonywania trudności i ich nadzieję rozkoszowania się owocem trzydziestoletniego trudu—ażeby należycie zrozumieć, jak wielkim wypadkiem, jak wielką dla czechów klęską stał się pożar świeżo zbudowanego teatru. Nie jestto wcale spłonięcie kosztownego gmachu, zwykła strata miliona guldenów, ale nagłe, jak piorun nagłe zawalenie się jednej z najważniejszych podpór biednej, rozpaczliwymi wysiłkami i ciągłą czujnością spojonej narodowości. Gdy spłonie teatr we Frankfurcie lub Londynie, westchnąwszy nad bezpłodnem nieszczęściem, przechodzimy do porządku dziennego bez głębokiego żalu, bez ściśnienia serca, bez bolesnego wspomnienia. I nie dla tego tylko, że niemcy lub anglicy, bogatsi od czechów, łatwiej zniosą klęskę; że niespokrewnieni z nami, mniej nas obchodzą; ale przedewszystkiem dla tego, że teatr w ich życiu jest wyłącznie przybytkiem sztuki; że utraciwszy go, utracają na czas pewien źródło artystycznych rozkoszy, nie zaś czynnik rodzimej cywilizacyi, potężny środek w walce o byt narodowy. Ten właśnie ostatni wzgląd nadaje pożarowi teatru czeskiego niezwykle tragiczne znaczenie, spotęgowane nadto jego prawie rozrzewniającą historyą. Nie dźwignęła go bowiem siła zasobów państwa, nie złożyły się nań bogate dary hojnych fundatorów, ale wyrósł z wdowich groszów ubogiego narodu, z jego patryotycznych ofiar. Kto widział skarbonkę kwesty, krążącą tak długo i znoszącą do wspólnego skarbca skromne daniny; kto spotykał rozradowane twarze tych ludzi, którzy z nieopisanem upojeniem czekali święta, mającego uroczystym aktem uczcić zbiorowe dzieło ich pracy, ten serdecznie musiał zapłakać przed obrazem niszczącego je ognia i łzami zagasić jego płomienie. Gdyby strop niebieski zwalił się na głowy czechów, gdyby ziemia rozwarła się przepaścią pod ich stopami, nie czuliby oni tej strasznej boleści, która rozpaczliwym krzykiem wydarła się z ich piersi na wieść o pożarze teatru. Zdawało się, że w tych złowrogich płomieniach rodzicom giną dzieci, siostrom — bracia, przyjaciołom — przyjaciele — a to ginęły długo pieszczone, krótko żyjące nadzieje nieszczęśliwego narodu. On tak pracował, krzątał się, wysilał, marzył, zapraszał wszystkich współplemieńców na wielką uroczystość otwarcia swej świątyni — i nagle runął ten pomnik jego chwały. Jak gwałtownie ode-

---

[1])

Signorina Gioventu

przez

Swatopluka Czecha [1]).

— Proszę wejść! mruknął dyrektor, nie spuszczając oczu z nakreślonych na aktach różnokolorowych znaków, które studyował z jawnem upodobaniem, uważając je widocznie za niezbity i wymowny dowód swej władzy.

Do pokoju wszedł mężczyzna, młody jeszcze, którego twarz dosyć regularnych rysów strasznie wynędzniałą jednak była i bladą, którego zapadłe oczy iskrzyły się chorobliwym blaskiem i który zziębniętą ręką chwytał od czasu do czasu konwulsyjnie za gęstą, lecz bezbarwną brodę, jak gdyby w ten sposób koniecznie chciał dowieść, że jest mężczyzną.

Pan dyrektor nader efektownie odznaczył ołówkiem koniec okresu i przez potężne okulary rzucił pytające spojrzenie na przybyłego. Ujrzawszy go, okulary zsunął na czoło, majeststycznie podniósł głowę, przygładził siwiejące kędziory włosów na skroni i rzekł poważnie z marsowatym wyrazem twarzy:

— Zaliczki, co? Dziś mamy dziesiąty... Ach, prawda — jutro sprawa apellacyjna małżonków Szarochów, trzeba przypomnieć o tem, w kalendarzu podkreślić dwa razy czerwonym ołówkiem, a wczesnym rankiem zająć ruchomości Jana Lasztowki — zaznaczone, o tu — wszystko trzeba spisać i opieczętować: pościel, obrazy, książki, odzież... Zaliczki! *Quo, quo ruis?* Niedawno wzięliśmy już dziesięć — dziesięć od dwudziestu pięciu, podkreślam — pozostaje do wzięcia w tym miesiącu piętnaście! Rozkoszny bilans!

Zwierzchnik pisał te wymowne cyfry ołówkiem i podkreślił smutny billans kreską tak dobitną, że zgnębiony tem dyurnista [1]) mimowoli cofnął się.

Dyrektor mówił dalej.

— Dwadzieścia pięć guldenów jest to dla młodego, wolnego człowieka ładny pieniądz. *Ne sutor ultra crepidam!* Ale Bogu tylko wiadomo, gdzie panicz swe dochody traci. I my byliśmy także młodzi, lubiliśmy także różne wybryki; lecz pamiętaliśmy zarazem o przyszłości. Dzięki temu, jesteśmy czemś przecie teraz. A pan? Jeśli się nie mylę, masz lat dwadzieścia osiem. Cóżeś pan zrobił przez ten czas? Jakąż przyszłość zapewniłeś pan sobie? Studyów jeszcześ pan nie ukończył. Mogłeś już pozyskać stopień doktora — tak, niewątpliwie doktora — a czem pan jesteś?! Zwykłego „d" nie umiesz porządnie napisać! Ileż to razy już mówiłem panu, że te wszystkie wasze niegodziwe zakręty i gzygzaki wprost uwłaczają powadze sądu. Ale to jak groch na ścianę! Wczoraj znalazłem w apellacyi Robacza przewielebnego Łopacie takie wąsate „d" — osłupiałem, mówię panu, osłupiałem. Takie „d" do wyższej instancyi! Ej, nawróć się, człowieku, popraw, póki czas! Posłuchaj życzliwej rady!

Po tych słowach, naczelnik skłonił głowę

---

[1]) Świętopełek Czech — jeden z najzdolniejszych współczesnych poetów i belletrystów w Czechach. Z utworów poetycznych jego zasługują między innemi na uwagę dwa poematy epiczne: *Pod cieniem lipy* i *Zyżka*. Drobne jego powiastki, które wyszły niedawno w wydaniu zbiorowem p. t. *Povidky, Arabesky a Humorestky*, wyróżniają się, wśród innych tego rodzaju utworów, zawartą w nich prawdą życiową, którą poeta opromienia naprzemiany błyskiem fantazyi i poetycznego uczucia, lub też dowcipem, zaprawnym subtelną ironią, a niekiedy nawet gorzkim sarkazmem. Czech zalicza się do przedstawicieli postępowej, czyli, jak ją nazywają przeciwnicy, kosmopolitycznej lub cudzoziemskiej szkoły w literaturze. Jest on redaktorem czasopisma *Kvety*.

[1]) Takie miano nadają zwykle w Austryi kancelistom.

zwała się chęć ratunku, dość wspomnieć, że przy ogniu już rozpoczęto zbierać składki na odbudowanie teatru. Ubezpieczony był na 400,000 złr. — kosztował przeszło milion — pozostaje więc do wydobycia z zasobów narodu 600,000. Niewiele by to było dla bogatej Francyi, która jednego dnia pokrywa miliardowe pożyczki i rozsypuje miliony na zbudowanie nowych kanałów; ale bardzo wiele dla ubogich Czech, które nie mają gotowych do otwarcia upustów zamożności. A jednakże wątpić nie należy, że czesi zdobędą się i na tę ofiarę, gdyby ją nawet musieli dźwignąć własnemi siłami. Podstawa tej pewności spoczywa w ich głębokim patryotyzmie, w ich niezmordowanej energii politycznej. Trudno byłoby znaleźć w Europie drugi naród, który byłby równie zdolny do cichego i wytrwałego mozołu, równie pomysłowy w tworzeniu środków podtrzymywania swej zagrożonej narodowości, równie chętny do poświęceń dla jej dobra. Blask patryotycznego uczucia rozjaśnia nawet ich ciemne strony. Pamiętając o tem uczuciu, przebaczamy im wszystkie wady samolubstwa, nieuwzględniającego interesów plemienno-rodzinnych. Przedstawiają oni nam widok matki, baczącej jedynie o zdrowie i życie swego dziecka, dla którego gotowa skrzywdzić własnego ojca i brata. Gdyby ludy, składające Europę, żyły w zgodzie, nie wydzierając sobie wzajemnie kawałka ziemi i kęsa chleba, takie zamknięcie się w kole swojego jedynie interesu raziłoby nas sobkowstwem. Ale w dzikiej puszczy, gdzie mocniejszy zwierz zagryza słabszego, wspaniałe wrażenie sprawia najdrobniejszy ptak, który mężnie broni swego gniazda. A ta wiecznie czujna, nigdy niedrzemiąca i niemdlejąca baczność czechów, ta ich namiętna obrona swej dziupli przed pazurami germańskiego jaguara uratowała im życie śród niebezpieczeństw, w których zginąłby każdy inny, mniej wytrwały naród, opasany potężną obręczą niemieckiego żywiołu. Czując zaciskanie się tej obręczy, nie pomijają oni żadnego środka, którym by ją rozeprzeć mogli. Z ziarnek piasku usypują góry i daleko skuteczniej walczą temi ziarnkami, niż gdyby leli z nich gwałtownie wybuchające kule. To też gdy nielitościwy uragan rozwiał im jedną z takich mozolnie zsypanych i dobroczynnych gór, rzucą się znowu do pracy i wzniosą nową.

Czy wszakże spłacimy dług samym podziwem dla widoku odbudowywania zburzonego mrowiska? Czy od nas nie należy się im pomoc? Zaiste, trudno wskazywać społeczeństwu naszemu cel ofiarności po za kresem jego własnego życia; zdaje nam się przecie, że wobec strasznego wypadku nie powinniśmy pozostać obojętni. W takich chwilach najsilniej zacieśniają się węzły narodowo-braterskie, najlepiej uwydatniają się żywione uczucia. Ludy z pnia słowiańskiego wyrosłe, a zwłaszcza zachodnią jego gałąź składające, zbyt mało dotąd złożyły sobie wzajemnie dowodów moralnej przyjaźni. W ostatnich latach znowu silniej odezwała się potrzeba łączności, ale czy zaszczepiona w złą porę, czy tłumiona niepomyślnymi warunkami, czy też znalazła grunt nieprzygotowany, dość że śród nas rozwija się bardzo powoli, a nawet pozostaje ciągle jakiemś trującem zielem, którego wielu unika ze strachem, z nieświadomem uprzedzeniem. Jest to wszakże ziarno płodne, które prędzej czy później swoje owoce wydać musi, jeżeli tylko szczerze a umiejętnie hodować je będziemy. Bolesna klęska, jakiej czesi doznali, jest właśnie porą wzmocnienia tej idei. Nie powiemy czytelnikom naszym: dajcie pieniędzy na odbudowanie teatru czeskiego, bo to wasz obowiązek; ale powiemy im: przyczyńcie się do tego dzieła, jeśli w duszy waszej czujecie przyjaźń dla tego narodu i jeśli chcecie ją mu objawić. Nie myślmy wcale, ażeby czesi nie uznawali głośno tych pomyłek, jakie względem nas popełnili, ażeby nie starali się ich naprawić w przyszłości; nie mierzmy ich wspomnieniami z przed laty kilkunastu. Jak oni sądzą te wspomnienia, za dowód posłużyć może artykuł gazety *Czeske Noviny* (Nr. 184), oddychający serdecznem dla nas ciepłem. Trudno z oddali gołosłownemi a nawet faktycznemi zapewnieniami grać na strunach serca; nie przypuszczamy też wcale, ażeby najgorętsze wyrazy nasze wydobyły z piersi czytelników *Prawdy* gwałtowny zapał. Ale — jak rzekliśmy — trzeba widzieć strapienie po klęsce lub posiadać dość bujną wyobraźnię do odtworzenia go sobie w myśli, ażeby rzucić na jego ołtarz niewymuszoną i niewyrozumowaną ofiarę. Łzy rostapiają najtwardsze serca, a lały się one obfitym strumieniem z oczu czechów, patrzących na płonący przybytek ich życia narodowego. Po ulicach rozlegały się głośne szlochania, rozdzierające krzyki, a po kraju rozpościerała się, jak złowroga chmura, posępna żałoba. To też naturalnym był objaw współczucia w prasie galicyjskiej, która natychmiast ogłosiła swe pośrednictwo w zbieraniu składek. Wypadek ten, pełen wymownej grozy, nie przepadnie dla sztuki; powinien on uwiecznić się w obrazie, któryby oddał z całą wyrazistością scenę głębokiej boleści narodu, zgromadzonego około swej ginącej w płomieniach świątyni narodowej.

M. R.

WOLNA SZKOŁA.

W tej ciągle toczącej się i powikłanej sprawie, pouczającym jest każdy głos kompetentny.

P. Guardia profesor szkoły w Monge, wszechstronnie obeznany z przedmiotem, wydaje książkę, gdzie kreśli poglądy dotyczące publicznego wychowania, z którą według obszernego streszczenia w *Revue Britanique* poznajomimy czytelników *Prawdy*.

Jako lekarz, literat i pedagog posiada on obok miłości dla swego zawodu, wiele danych, będących rękojmią ścisłości rozbieranej przez niego sprawy szkolnej.

---

nad tkanką różnokolorowych kresek i zaczął odszukiwać owego okresu, do którego doszedł, przeglądając obszerną sprawę *in possessorio summarissimo*. Chciał widać tym sposobem pozostawić kanceliście dosyć czasu na rozważenie całej ohydy owego wąsatego „d“.

Biedny kancelista stał przez chwilę skruszony, tamując oddech w piersi; widocznie jednak broda dostarczyła mu męztwa, gdyż wyjąkał nareszcie:

— Panie dyrektorze, ja niezdrów jestem — dziwnie mi jakoś, gorzko, zimno— w oczach mi się migoce—chciałem właśnie prosić, aby mi pan pozwolił pójść już do domu.

Dyrektor popatrzył przez chwilę ostro na mówiącego i zawołał:

— A wiem ja przecież, co się to panu przed oczyma migoce! Znam te zapustne migotania, he, he! Lecz z umiarkowaniem, powtarzam, z umiarkowaniem. To hulaszcze życie nie służy panu wcale. Masz pan cerę bardzo niezdrową. A no, dobrze, dobrze! Nic rozsądnego jużbyś mi pan i tak nie napisał. Ale przed wyjściem proszę sprawę wspomnianą dwakroć czerwonym ołówkiem podkreślić w regestrze i lampę zagasić, a jutro rano wstać i z Lasztowką niezwłocznie się załatwić.

Dyjurnista bezwiednie znalazł się nareszcie na ulicy. Rzeczywiście w dziwnem był usposobieniu. W głowie mu się kręciło, w całem ciele dreszcze lub żar uczuwał na przemiany. Szczękając zębami i trzęsąc się cały, szedł ulicą. Panował na niej ruch zapustny. Przysypane śniegiem pojazdy turkotały po bruku, a w oknach ich zamigotał czasem delikatny profil główki dziewiczej, schylonej nad balowym bukietem. Czasem zatrzymywał się któryś z tych powozów przed frontem wysokiego domu, z szeregiem rzęsiście oświeconych okien; sumiasty portyer z gałką na lasce otwierał drzwiczki, i na stopień powozu zsuwała się drobna nóżka w atłasowym trzewiczku, fałdziste białe obłoki wychylały się z głębi powozu, nad nimi ukazywały się delikatne rączki, wzorzysty wachlarz, okrągłe nagie ramiona, bogate sploty włosów, błyszczące oczy, powabna twarzyczka, iskrząca się nadzieją rozkoszy... na chodnikach tuliły się do siebie zakochane pary w rozkosznym szepcie, starzy panowie, okryci futrami, zmierzali do klubów, eleganci szczękali zębami, nucąc zarazem ustępy z oper; huczne dźwięki muzyki balowej dochodziły zbliska i zdaleka...

Kancelista bezwiednie upajał się tym zgiełkiem wesołym: w głowie mu szumiało, wszystkie członki mróz przejmował. Zdawało mu się, że wszystko to, co widział, wiruje naokoło niego, i że przedmioty pojedyńcze łączą się razem, spływają w tym wirze... Nagle stanął.

Przed nim wisiała olbrzymia kolorowa latarnia, na której w płonących głoskach przeczytał napis: „Wypożyczalnia najgustowniejszych, najdowcipniejszych i najzbytkowniejszych kostiumów maskaradowych Abrahama Taitelesa.“

Ten uderzający i fantastyczny szyld wywarł na biednym kanceliście dziwnie pociągające wrażenie. Jego chwiejąca się noga uwięzła pod kolorową latarnią, a oczy zatonęły w jasno oświetlonym kramie, w którym zgromadzona była bajeczna ilość najprzeróżniejszych masek i kostiumów. Wszystkie narody świata, wszystkie wieki, wszyscy bohaterowie i bohaterki baśni ludowych, wszystkie stany i klasy społeczeństwa, różne teorye polityczne i socyalne, waśnie i słabości ludzkie, wszelkie wytwory bajarzy i gadek dziecinnych, całe trójkrólestwo przyrody — krótko mówiąc, cały świat był tu skarykaturowany, sparodyowany, strawestowany za pomocą nożyczek i pędzelka, pozłoty i różu, tektury i płótna — a wszystko to lśniło, kołysało się, drżało i błyszczało tak, że wzrok omamiony nie wiedział, dokąd się zwrócić. A wśród tego fantastycznego świata stał, jak potężny czarodziej, sam Abraham Taiteles, wysoka postać w zniszczonej odzieży, z siwym zarostem, zakrzywionym nosem, mrugającemi i podstępnemi oczyma i z dziwnym, nader dziwnym uśmiechem, przymilającym się i złośliwym zarazem. Im dłużej nasz kancelista

We wszystkich sferach ludzkiej działalności każda idea jest niezmiernie trudną do wcielenia i powiększej części prześciga nasze siły. Łatwiej bowiem plan nakreślić, niż go wykonać, zwłaszcza wobec skłonności ludzkiej do zakreślania sobie zamiarów szerokich i podniosłych. W ten sposób stworzyliśmy sobie ideę rodziny, ojczyzny, sztuki, polityki i ludzkości. Pojęcia te zmieniają się wraz z ludźmi, nie przestając ich zaprzątać i nęcić. Podobnie Guardia posiada swój ideał wychowania, który odsłania nam w swem dziele. Jest on wyraźnym stronnikiem „szkoły wolnej.“ Sądzi, że wychowanie swobodne, dalekie jeszcze od chwili, kiedy zastąpić będzie mogło wychowanie szkół rządowych, ale posiada właściwości, którémi potrafi sobie utorować drogę do koniecznych reform.

Autor rzecz swoją przedstawił wielostronnie. Sprobujmy wskazać główne punkta, około których myśl jego się obraca.

Przedewszystkiem domaga się wychowania żywego (*un enseignement vivant*), żywego przez swą metodę; ma to znaczyć zastosowanego do potrzeb bieżącej chwili, żyjących, a nie umarłych — do teraźniejszości, nie zaś do przeszłości. Żąda on, aby zbyt ucznia nie zalewano atramentem, nie obciążano nadmiernie umysłu jego książkami i pamięciowemi ćwiczeniami. Wymiana myśli między uczniem i nauczycielem, wspólna, ciągła, dobrowolna praca zastąpi zużywający mechanizm. Guardia w tym celu domaga się, aby szkoły nie były batalionami a profesorowie nie przeistaczali się w pułkowników. W jednej klasie nie powinno się mieścić więcej nad dwudziestu pięciu uczniów. Ale wtedy należałoby potroić budżet wychowania publicznego, na co dziś nie pozwala — wojna.

Druga reforma, zalecana przez Guardię zarówno pod względem lekarskim jak i higienicznym, polega na zmniejszeniu godzin pracy i to w ten sposob, aby uczeń po spożyciu wieczerzy nie pracował wcale. Zwyczaj dotychczasowy jest szkodliwy zarówno higienicznie jak i umysłowo. W ogóle zaś, według Guardii, nie należy rozwijać pierwiastków obywatelskich kosztem ludzkich; pragnąłby on przelać zapał i życie w wychowanie.

Lecz przedewszystkiem czego należy uczyć?

Wiadomo, jaką rolę odegrywa w urzędowych szkołach łacina. Autor nie myśli jej bynajmniej wyganiać, podobnie jak i greczyzny. Potępia on jedynie uczenie się łacińskich wierszy, zadań, rozmów i wszystkich rzeczy marnujących czas i powiększających liczbę tych, którzy przez ośm lat nie zdołali się nauczyć łaciny. Częste ustne, w klasie robione tłomaczenia i piśmienne zadania, krótkie lecz starannie obrabiane, wydałyby lepsze rezultaty i więcej zostawiłyby czasu do wyuczenia się obok starożytnych, nowożytnych języków.

Autor zastanawia się nad prawami natury i nad naszym do nich stosunkiem. My mamy nasze systematy, natura ma swoje, a gdy się im sprzeciwiamy, karze nas nieuniknionemi następstwami naszych błędów. Przyroda nie potrzebuje policyi ani aresztów, a wyroki jej wypisane są we wnętrzu naszych fizycznych i umysłowych organów. A więc, zapytajmy: czy szkoły obecne umieją uszanować dziecięctwo w dziecku a młodzieńczość w młodzieńcu; t. j. wyrażając się treściwie: czy umieją one uszanować rodzaj ludzki w tych, których na ludzi pragną wykształcić? Guardia o tem wątpi. Powietrze, światło, życie powinno przenikać naukę, sale szkolne, podobnie jak ożywia łąki.

W dalszym ciągu autor dotyka stosunków specyalnie francuskich, które jako czysto miejscowe mniej nas zająć mogą. Zastanawia się nad publicznemi instytucyami Francyi: nad uniwersytetem, konkordatem i administracyą prefektoralną jako nad trzema napoleońskiemi instytucyami. Nie wierzy w zmartwychwstanie monarchyi; zaznacza jednak, że wprawdzie monarchia żyć we Francyi przestała, lecz monarchizm dotyczas istnieje i zdaje się zapowiadać długie życie. Jest on tem potężniejszy, że nie dostrzegamy go na zewnątrz i nie czujemy go w sobie. Tryumfuje w ideach, w obyczajach a przedewszystkiem w nawskróś centralistycznych instytucyach. Autor w swych wywodach opiera się na idei republikańskiej i dąży do wychowania, któreby utrwalić mogło rzeczpospolitą. Odrzuca niwelacyę mas środkujących się w centralistycznem ognisku i żąda decentralizacyi czyli instytucyi samodzielnych i wciąż przemawia w obronie jednostek.

Całe pasmo jego myśli pedagogicznych przeniknięte jest atmosferą humanizmu tak świeżą, jak to powietrze, które pragnąłby najobficiej wpuścić do szkoły.

Zg.

POMÓR KRAKOWSKI.

Kraków, 15 sierpnia.

— Wielkie rzeczy!... pomyślałem sobie, rzuciwszy okiem na któryś z ostatnich numerów warszawskiego *Echa*. Takie ogromne miasto i jeden człowiek umiera z głodu. My większe robimy cuda: u nas na 60,000 mieszkańców podobne wypadki zdarzają się w zwykłej kolei życia. Czy to chodzi o wydanie kroci na przyjęcie dworskie lub załatanie dziur klasztornych, czy o wykazanie patryotyzmu, albo... liczby zamęczonych głodem, — my zawsze górą... I nie wątpię ani na chwilę, że gdyby przyszło kiedy do głowy Kalliopie spłodzić po raz wtóry Orfeusza, wziąłby on lutnię swoją, zawieszoną między gwiazdami, i za przykładem wielu sprawozdawców z życia krakowskiego, począł opiewać to Eldorado cnoty, wielkich mężów i czynów, — a do największej kantaty natchnęłaby go filantropia nasza. I jak niema natchnąć, kiedy corocznie urządzamy na ubogich dziesiątki balów, went, koncertów, loteryj, na których hrabia X. i księżna Y. z zapałem się pełnią urzędy kelnerów, sprzedają cukierki, wodę sodową, pomarańcze, oraz łamią nogi w tańcu; jak niema natchnąć, kiedy tu nawet nie potrafisz zliczyć wszystkich towarzystw dobroczynnych, Wincentych a Paulo, Łukaszów, bratnich pomocy, kas oszczędności i t. p. — co jednak bynajmniej nie przeszkadza biednym ludziom robić tannerowskie doświadczenia—z przymusu.

W roku bieżącym czterech tylko akademików padło tu głodową śmiercią: niejaki Slendziński, Dobrowolski, Borek i Mikrot, ludzie, o ile wiem, odznaczający się zdolnościami i ochotą do pracy.

Czterej ci nowożytni męczennicy klerykalnego grodu są uosobieniem ogólnego niedostatku krakowskiej, a głównie materyalnego stanu uczącej się młodzieży. Zarówno w pośród uczniów niższych zakładów naukowych, jak i wyższych, panuje tu krwawa nędza. Po wiedzę, przybywa-

zatapiał wzrok w tej mięszaninie jasnych wesołych barw, w tej masie dziwacznych masek, w tym blasku fałszywych klejnotów — tem bardziej wypogadzały się jego myśli. Markotna ociężałość ustąpiła z jego mózgu, dreszcz i żar znikły z piersi, jakieś uczucie zdrowia rozeszło się po wszystkich członkach, serce zabiło nieznaną tęsknotą.

W zadumie nie zauważył wcale, że żyd zbliżył się właśnie do oszklonych drzwi kramu. Nagle otworzyły się one, i młodzieniec ujrzał przed sobą starego żyda, kłaniającego się z uniżoną grzecznością.

— Niech pan raczy wejść—mówił z wyraźnym żydowskim akcentem — niech pan raczy zaszczycić swoją obecnością sklep maskaradowy Abrahama Taitelesa. Kancelista wahał się. Przebiegły syn Izraela, zdało się, czytał w jego duszy.

— Nie potrzebuje pan nic kupować za gotówkę— szwargotał dalej; —dosyć i tak będę wynagrodzony tem, że tak znakomity znawca przejrzy i pochwali mój szacowny skład, któremu równego nie ma w całym świecie!

Kancelista nie oparł się uprzejmej prośbie; wszedł do sklepu. Żyd oprowadzał go po swem państwie, nadmieniając z żywymi gestami:

— Niech pan raczy popatrzeć, tu na tego magnata. Jaki blask, jaki przepych! Czy widzi pan tę bogato wysadzoną szablę, ten kołpak, tę spinkę brylantową? Powiadam panu, że żaden dostawca nadworny nie ma podobnych rzeczy. Albo tu ta japonka — wszystko, nawet wachlarz, oryginalnej japońskiej roboty! A tam oto giełdzista w ubraniu z papierów kredytowych, z prawdziwych akcyj, panie, dalibóg, prawdziwych! Tu w kącie Szekspir — zwłaszcza panowie literaci chętnie go wynajmują. Albo ten biurokrata — prawie darmo do sprzedania. Tam na prawo wisi fejletonista — tego za bagatelkę wynajmę. A cóż ta maska politycznego mataczа z dyplomatycznym fortelem w każdym rysie twarzy, z nosem długim, węszącym w powietrzu, i z harcapem z tyłu, za uchem pióro zatemperowane i umoczone w żółci, w kieszeni przydługiego nieco surduta nowo oprawiony Macchiavelli. A cóż ta Fantasta?...

Papa Taiteles umilkł nagle, cofnął się o krok w tył i zmierzył naszego dyjurnistę badawczem spojrzeniem od stóp do głowy. Potem zbliżył się doń, rękę uprzejmie na ramieniu jego oparł i zaczął błagalnym tonem:

— Ach, panie drogi, w głowie mi błysnęła wyborna myśl. Pan jak stworzony do mego zamiaru. Boję się jednak, abym nie obraził pana swoją natarczywością. No zresztą w najgorszym razie wyśmiejesz pan tylko głupiego Abrahama Taitelesa.

Zamilkł na chwilę i z przymileniem pomrugując oczyma, bawił się skórzanym woreczkiem, wyjętym z zanadrza. Potem ciągnął dalej: Niech pan będzie łaskaw posłuchać mię: mam tu jeden ubiór maskaradowy *pro domo sua*, przeznaczony na żywą reklamę. Rzecz to bardzo prosta: mam jeden kostium, niezmiernie bogaty i fantastyczny, w którym przebija się najlepiej cały przepych, elegancya i dowcip mego składu. No. a w każdem zgięciu tego ubioru, na każdym guziczku, w każdej pentelce, na każdym chwaście, z przodu i stylu, na trzewikach i na klapach przy kieszeni, w każdym rogu i w każdej fałdzie przeczytać będzie można wyraźnemi kolorowemi literami te słowa: „Abraham Taiteles, ulica Wesoła Nr. 33.“ Wyborna myśl, nieprawda? Ale, uważa drogi pan, dotąd nie znalazłem człowieka, który by był godzien tego ubioru, łącząc w swojej osobie wszystkie te rzadkie przymioty, których koniecznie potrzeba do należytego wykonania pysznego pomysłu. Pan jedynie może mi w tem dopomódz. Ma pan ładną postawę, wybitnę i szlachetne rysy twarzy, eleganckie ruchy, kształtną budowę ciała, a że i dowcipem potrafi pan błysnąć w właściwej chwili — poznałem to od pierwszego rzutu oka. Ach, panie, gdybyś pan zechciał wyświadczyć mi tę wielką przysługę! Byłbym panu winien nieskończone dzięki. Dziś właśnie odbywa się jeden z najlepszych i najliczniejszych balów maskowych; zapewne zabawiłoby pana spę-

ją do nas ludzie przeważnie bez najmniejszych środków do życia, synowie biednych wyrobników, oficyalistów, górali i t. p. — a tu nikt nie stara się im przyjść z jakąkolwiek pomocą. Gdzież te tysiące zbierane corocznie z went, balów i koncertów? Któreś z pism warszawskich przed dwoma laty podało sprawozdanie z podobnych funduszów. Rozdają się one tytułem rocznej pensyi po 1,500 złr. i więcej zbankrutowanym baronetom, hrabiankom, karciarzom — podczas gdy ludzie, zdolni i rwący się do pracy, z którychby może niejeden ozdobił zaszczytnie umysłowość naszą, giną z głodu na krakowskim bruku.

Nie myślcie atoli, abym młodzież naszą chciał widzieć żebrakami z torbą, wyciągającymi rękę po jałmużnę... Nie, rzeczy te zostawmy krakowskiej arystokracyi... Młodym dajmy pracę, możność zarobkowania; a jeśli już tak trudno o to w Krakowie, jeśli u nas na parę tysięcy kształcących się, zaledwie setka może znaleźć sobie zajęcie, lekcye prywatne, korepetycye — często bardzo o płacy 3 złr. miesięcznie za godzinę i więcej dziennie wykładu—to z tych tysiąców loteryjnych i koncertowych zakładajmy tanie kuchnie (jak w Warszawie), kasy pożyczkowe dla wszystkich uczących się, pomnażajmy szczupły kapitał „bratniej pomocy“ Jagiellońskiego Uniwersytetu, ogłaszajmy konkursy naukowe na uzyskanie jednorazowych stypendyów — słowem, róbmy coś, aby raz położyć tamę nędzy ogólnej.

Nikt nie zaprzeczy, iż stypendyów rządowych i prywatnych tutejsze zakłady naukowe posiadają stosunkowo dość wiele. Ale otrzymać które z nich daleko jest trudniej, niż było Herkulesowi wykonać 12-cie swych prac. Trzeba bowiem niezbędnie mieć za sobą na każdym kroku liczne protekcye, począwszy od gospodyni księdza proboszcza, piszącego świadectwo ubóstwa, a skończywszy na „grubej jakiej rybie“ w Radzie Szkolnej i Wydziale Krajowym, skutkiem czego najczęściej osobistości zamożne, jeżeli nie majętne, uzyskują pomoc. Niedość tego! Nieraz, aby posiąść 75 złr. lub 50 złr. rocznie (stypendya u nas są przeważnie tej miary), trzeba koniecznie należyć do powiatu Z, gminy X, wsi Y, pieczętować się oznaczonym herbem i ród swój wywieść w prostej linii od zapisodawcy. Bez tych jedynych oznak „tęgiej“ twojej głowy, choćbyś nawet wynalazł *perpetuum mobile*, możesz, uwielbiając świat ten tak piękny, tak pełen dobrych ludzi i Boga, co i lilie śnieżne odziewa, a „jaskółkom w dziobek daje muszkę marną,“ skonać z głodu pod płotem.

I jakże śmieszne wobec takiego stanu rzeczy są wszelkie tyrady na młodzież naszą, że karleje duchem i ciałem, że obojętnieje dla ideałów, że wreszcie płaszczy się dla chleba! Smarowanie głowy pomadą religijną i kąpiel z moralnych ziółek, błahy to puklerz przeciw występkom, gdy żołądek kurczy się z głodu, a ręka krzepnie z mrozu.

Chleb i wiedza — oto klucze do zamknięcia kryminałów...

Śmierć głodowa grasuje tu nietylko między ludźmi... Wiadomo, iż z uderzeniem nowego roku wyrosły na naszym gruncie w inspektach postępowych dwutygodnik *Muzeum*, — przeniósł się do wieczności jeszcze w czerwcu. Obecnie ten sam los spotkał dwa inne dwutygodniki: *Krakowianina* i *Kronikę krakowską*, spłodzone podczas wielkiego postu. Czegóż ta śmiertelność dowodzi? Czy, że dziewicza puszcza krakowska swych pionerów cywilizacyi nie chce słuchać nawet za darmo, cóż dopiero dać któremu z nich łyżkę strawy, — czy też, że apostołowie wybierają się głosić słowa prawdy, uzbrojeni motyką na słońce?... Bezsprzecznie to pierwsze. Po dziewiczej puszczy krakowskiej z przyległościami najmilej rozlega się głos stańczykowskiej fujarki — *Czasu*. W czarowną jej melodyę, uplastyczniającą dźwiękiem wsteczny chód raka, wsłuchuje się tu każdy z rozkoszą, i to mu całkiem wystarcza do szczęścia w tem życiu, a korony złotej po śmierci. Nie mniej jednak gra również ważną rolę owo wybieranie się z motyką na słońce. Pomijając już zgon *Muzeum*, które istotnie nie miało dość silnej racyi bytu, jako książka zbiorowa mniej lub więcej udatnych artykułów, bez charakteru bieżącego i przewodniej myśli, — śmierć takiego np. *Krakowianina* i tylu innych zakładanych ciągle politycznych dzienników, pomijając nieudolne redakcye, ma jeszcze jedną głębszą przyczynę. Bo naprzód jak może istnieć, wytworzyć pewne współzawodnictwo dla pisma codziennego dziennniczek polityczny, wychodzący dwa razy na miesiąc? Powtóre, zakładano pisma bez dostatecznego kapitału. Z *Czasem* na guldeny mierzyć się nie łatwo. Choć obecnie, o ile nam wiadomo, liczy tylko 800 prenumeratorów, t. j. jego dochód nie pokrywa nawet w połowie kosztów druku, lecz jako organ Potockich i ich opiłek, rozporząda taką szkatułą, co mu pozwala z uśmiechem spokoju przetrwać wszystkie burze i patrzeć na trupy przeciwników.

Śmiertelność ta atoli nie przeraża ludzi dobrych chęci. Oto i teraz stanął do boju nowy rycerz, w postaci *Gazety krakowskiej*, ukazujący brzeszczot swój dwa razy na tydzień. Wojownik ten, jak Sfinx powstał z własnych popiołów, z ś. p. *Gwiazdki krak.*, przyświecającej nam niegdyś traktatami o towarzystwie strzeleckim, oraz ewangelią na niedziele i święta.

Nie przesądzając naprzód, jaki los spotka *Gazetę krak.*, zaznaczyć wszakże mogę, że jeśli nie stanie się ruchliwszą, pełniejszą życia i interesu, następnie jeśli nie przekształci się na pismo codzienne, to i jej dnie policzone... Nie dziś — to jutro spocznie w grobie, który już tyle jej poprzedniczek i poprzedników pochłonął.

Wesoły występ p. Goraja w *Kuryerze warsz.*, podobał się tylko *Czasowi*. Od tej kociej muzyki odwróciły się inne pisma z dość wymownym giestem, pojmując, iż wyprawianie jej p. Chmielowskiemu przed wyborem na katedrę literatury polskiej przedewszystkiem było wybrykiem wielce nagannym.

D. 9 b. m. na Podgórzu zmarł Karol Mecherzyński, dr. prof. Jagielońskiego Uniwersytetu, członek Akademii Umiejętności.

Urodził się w Krakowie 1800 r. Ukończywszy nauki ze stopniem dr. fil. pełnił z kolei obowiązki profesora polskiego i łacińskiego języka w liceum św. Barbary, gimnazyum św. Anny, wreszcie w 1849 r. objął katedrę historyi literatury polskiej w uniwersytecie. Jako człowiek odznaczał się wielu dodatnimi rysami. Literacka jego działalność, niewystrzelająca do niezwykłych wyżyn, była bardzo użyteczną. Świadectwem tej użyteczności są jego prace w zakresie historyi literatury polskiej i dziejów ojczystych.

W r. 1830, wspólnie z P. Czajkowskim i Bandtkiem redagował *Pamiętnik krakowski*. Od r. 1855 przyjmował udział w wydawanym (w Krakowie) *Kwartalniku naukowym*. Współcześnie lub później ogłosił swe badania: *Świadectwa obcych o oświacie w Polsce*, *Historya języka łacińskiego w Pol-*

---

dzenie kilku godzin wśród tego ruchu wesołego. Nikt pana w przebraniu tem nie pozna — a rezultat w każdym razie będzie wyśmienity. Kosztów nie poniesie pan żadnych zgoła, dorożkę wynajmę, a w kieszeni swego kostyumu znajdzie pan ozdobną sakiewkę, której zawartość zaspokoiłaby nawet najbardziej rozrzutnego marnotrawnika. No, proszę teraz powiedzieć, czy pan zgadza się na plan mój, czy wyświadczy mi pan tę łaskę?

Nasz dyurnista słuchał dotąd jak we śnie. Teraz zamyślił się. Plan, przedstawiony przez żyda, uderzył mocno w strunę, która już oddawna w duszy młodzieńca nastrójoną była na bolesną nutę, a przed chwilą głośniej niż kiedykolwiek w niej się odezwała. Zapomnieć nagle o terminach apelacyjnych i egzekucyjnych, przesadzić jednym skokiem fatalną kreskę bilansu, która ustawicznie unosiła się przed nim w powietrzu, rozciągnięta do nieskończoności ręką jakiegoś złośliwego dyablika i tamowała mu drogę do tysiącznych rozkoszy; żyć raz jeden podług swego życzenia, podług własnej woli jedynie, żyć tak chociaż przez jedną tylko noc, otrząsnąć z siebie w mgnieniu oka tę wieloletnią warstwę pyłu kancelaryjnego, ożywić się promieniem radości, blaskiem czarownych oczu, zanurzyć się w tym szumnym odorze pełnym gwaru i wrzawy, którego wesoły ruch dotąd tylko zdaleka, ale zato tem powabniej do niego dochodził... Wahał się: z jednej strony pociągał go ku sobie ten nieznany obraz, z drugiej zaś — rozumiał dobrze poniżenie, nieodłączne od roli żywego żydowskiego szyldu. Lecz wahanie to trwało zaledwie chwilkę, i wnet szale przeważyły się na stronę balu.

Wkrótce też siedział już, jako dziwaczna żywa reklama, odziany w niezwykły wytwór najbujniejszej fantazyi krawieckiej z „Abrahamem Taitelesem, ul. Wesoła Nr. 33“ na każdym ściegu,—w eleganckim powozie — zapłaconym z góry — który z głośnym turkotem wiózł go przez puste już ulice.

Po krótkiej jeździe, powóz zatrzymał się przed jasno oświetloną bramą, i po paru chwilach kancelista stał olśniony, oszołomiony w tłumie tysiąca masek. Dopiero po upływie pewnego czasu, zaczął rozróżniać w tym tłumie pojedyńcze postacie, które śmiałością postawy i bogactwem ubiorów przewyższały najśmielszy polot jego wyobraźni. Zdało się mu, jakoby cały skład Abrahama Taitelesa, ożywiony wesołem tchnieniem zapust, tu się rozproszył po olbrzymiej sali, wśród kolumn marmurowych, w krętych galeryach. Zresztą skład Abrahama zaginąłby, jak ziarnko w tym chaosie. Poważne domino, zuchwały tragarz okrętowy, cudowna markietanka, półnaga bogini, ponury inkwizytor, wesoły arlekin, wysmukły gondolier, otyły kapucyn — jednem słowem wszystkie stałe zjawiska maskaradowe znajdowały tu swych przedstawicieli, a obok nich setki nowych postaci, zwracających na się uwagę smakiem, nowością pomysłu, humorem i zjadliwą ironią. Do tego echo ostrych docinków, dźwięk niezliczonych dzwonków, szept, gwar, śmiech, zgiełk i upajająca muzyka, przy której taktach krążył tłum masek, jak obrazki w olbrzymim kalejdoskopie!...

Z początku budził dyurnista w swym awanturniczym kostyumie powszechne zajęcie: którędy tylko przeszedł, zstrzymywały się maski, domina wskazywały go sobie palcami, tworzyły ciekawe grupy naokoło niego, niektóre śmielsze wtykały swe długie nosy, osiodłane potężnemi okularami, aż między fałdy i draperye jego odzieży, czytając głośno słowa, któremi obsypany był od stóp do głowy.

Słyszał zdania: „Żywa reklama!“ — „Myśl wcale nie głupia!“ — „Nowy pomysł!“ — „Dowcipny człowiek ten Abraham Taiteles.“

Niebawem wszakże zaczęły obijać się o jego uszy zdania wprost mu nieprzychylne. Słyszał, jak sążnisty Don Quichote, nachyliwszy swą rozczochraną brodę do ucha karłowatego Sancho-Pansy, — rzekł głośno: „Oto natręctwo żydowskie! Nie dość ma miejsca na rogach ulic i w ogłoszeniach dziennikarskich, — zawiesza swe

sce, Dzieje języka polskiego u nas i *O magistratach miast polskich*. Jako profesor uniwersytetu opracował główne swe dzieło *Historya wymowy w Polsce*, poczem w pismach peryodycznych zamieścił szereg studyów nad historyą literatury polskiej. Wielką zasługą zmarłego jest przekład *Dziejów* Długosza, dokonany z wielką znajomością przedmiotu i istotnem zamiłowaniem. Spracowany ciężko i pożytecznie, legł w grobie.

Prawdzic.

SEKCIARSTWO W ROSYI.

Petersburg, 12 sierpnia.

W jednym z poprzednich listów moich miałem sposobność zaznaczyć niezwykłą rozmaitość zdań i sądów o charakterze i zasadniczych cechach ludu rosyjskiego, panującą obecnie w rozlicznych obozach inteligencyi rosyjskiej. Widocznem jest jednak, iż przedstawiciele rozmaitych stronnictw zbyt często zapominają o tem, że czas syntezy nie nadszedł jeszcze i że niepodobna opierać twierdzeń tylko na punktach wybranych, tłomaczących nam może pewien szereg zjawisk, ale nie obejmujących ich całości.

Aż do mistyki posunięta religijność, uczucie przedewszystkiem, to cechy naszego ludu — powiadają słowianofile; obojętność religijna, racyonalizm odznacza lud nasz wśród innych, — twierdzą ich liberalni przeciwnicy. I pierwsi i ostatni opierają swe wnioski przeważnie na badaniu sekt. Nie należy się dziwić, że takie ogólne twierdzenia wyprowadzają oni z cząstkowych danych, że sekty a nie religja panująca zwracają na siebie uwagę badaczów. Sekciarstwo bowiem w Rosyi tak jest rozgałęzione, istnieje od tak dawna, a przybierając coraz nowe formy, tak licznych, energicznych i samodzielnych zyskuje zwolenników, że doprawdy potrzeba z niem bardzo poważnie się liczyć. To też chodzi nam o to tylko, że sam systemat badania, a zatem i wnioskowania zwykle już zgóry jest fałszywy, gdyż badacze-publicyści, w jedną stronę zwykle zapatrzeni, szukają zjawisk odpowiednich swym chęciom i pokrywają je mniej więcej jednostajnym pokostem. Materyału rozmaitego życie daje wprawdzie aż do zbytku, wybrać więc zawsze jest z czego, ale kiedy właśnie wówczas tylko zdolamy to życie zrozumieć, jeżeli, nie wybierając dowolnie, zestawimy razem różnorodne czynniki i odmienne zjawiska. Tak naprzykład zwolennicy religijności i mistycyzmu ludu rosyjskiego powołują się zwykle na istnienie licznych sekt z wybitnym charakterem mistycznym. Nie ulega wątpliwości, że sekty te rzeczywiście są rozpowszechnione i że powstawanie ich dowodzi naturalnie odpowiedniego usposobienia w pewnej części ludu; ale trzeba pamiętać, że obok nich widzimy też w sferze religijnej ruch całkiem przeciwny, bo coraz to dalej skierowany w stronę czystego racyonalizmu.

W ciągu ostatnich zwłaszcza lat kilku rozwój sekt racyonalistycznych uczynił tak znaczne postępy, że zwrócił na siebie powszechną uwagę. To też mówią o nim i piszą nietylko badacze ludu lub przedstawiciele religii prawosławnej, ale nawet urzędnicy rozmaitych gatunków, grający bardzo czynną rolę w stosunkach z sekciarzami, to jest w zapobieganiu się nad nimi. Rozkrzewiona niezmiernie sekta, znana pod nazwiskiem *sztundy*, tak niedawno jeszcze, bo przed kilkunastu laty powstała, szczególniej wiele daje materyału do wniosków przeciwnych twierdzeniom zwolennikom mistyki. Racyonaliści też z tryumfem wskazują na jej szybki rozrost, pomimo prześladowań administracyjnych i surowych kar, na jej krzewienie się nietylko już na Ukrainie i w gub. Ekaterynosławskiej, Chersońskiej, Taurycki ej, Woroneżskiej i wogóle wśród małorusów, ale też na powodzenie propagandy tej w guberniach środkowych, wśród wielkorusów, w Petersburgu. Znaczenie tej sekty jest tem większe, że nie ogranicza się ono sferą religijną, słabo jeszcze oświetloną, lecz w każdym razie racyonalistyczną, ale kładzie wybitne piętno na życie rodzinne i społeczne swoich wyznawców, piętno o tyle widoczne, że na pierwszy rzut oka podróżny poznaje wieś sztundystów i wyróżnia gospodarstwa ich z pośród innych. Obecnie czas egzekucyi przeminął i nastąpiła pora spokojnego zbadania tej najważniejszej obecnie sekty, badania ciekawego i dla tych nawet, którzy nie mają na myśli wyprowadzania zeń mniej więcej tendencyjnych wniosków.

O ile wiadomo, pierwszym krzewicielem nowej wiary był pewien niemiec z kolonii Rorbach, nazwiskiem Benekemfer; to też dogmatyka sztundy, bardzo sumienna zresztą, nosi na sobie wybitne ślady protestantyzmu niemieckiego. Miejsce Benekemfera zajęli wkrótce rusini: Ratusznyj, Wowkarz i inni, obecnie wysłani na Syberyę, a stający się podczas działalności swojej utrzymać władzę w swoim ręku, zachować pewną hierarchię i obrzędowość. Dziś jednak sekta przyjmuje coraz bardziej racyonalny i praktyczny charakter prawideł moralności i wprowadza do życia ewangeliczne zasady równości i sprawiedliwości w stosunkach społecznych. Sakramentów sekciarze nie przyznają wcale, niektóre z nich uważając za symbole tylko, inne zaś, jak małżeństwo naprzykład, za fakt naturalny życiowy. Kościołów, hierarchii, ani duchowieństwa wogóle nie znają wcale; nawet tak zwani „starsi bracia“ przestają już pośredniczyć w stosunkach pomiędzy wiernymi a Bogiem, i gospodarze domów, do których po kolei zbierają się sekciarze na wspólne modlitwy, spełniają w czasie ich trwania obowiązek przewodników duchownych, to jest odmawiają psalmy i modlitwy z książek najczęściej tłomaczonych z niemieckiego i wydanych w Londynie, czytają teksty ewangeliczne i wykładają je braciom. Czytanie to i komentowanie bywa zupełnie improwizowane, niezastosowane do pewnych dni lub obrzędów.

Zresztą prześladowania, którym przez lat kilka ulegali tak liczni dziś sekciarze, przyzwyczaiły ich do skrytości; trudno więc jest niezmiernie powziąść dokładne wyobrażenie o czysto religijnej stronie ich zasad. Natomiast z rezultatów zewnętrznych łatwiej możemy sądzić o zastosowaniu wyznawanych przez nich praw ewangelicznych miłości bliźniego, a raczej sprawiedliwości i równości powszechnej.

Wychodząc z tej zasady, że Chrystus zarówno dla wszystkich poniósł śmierć męczeńską na krzyżu, wyznają oni zupełną równość praw i obowiązków, pociągającą za sobą w teoryi przynajmniej równość własności, równość też w posiadaniu ziemi, t. j. zasady czysto socyalistyczne, dotychczas obce małorusom, niezmiernie czających wcale urządzeń gminnych wielkoruskich. Zasady te, wraz z negacyą pochodzenia władz od Boga, musiały się złożyć na bardzo groźną całość w oczach administracyi, zwłaszcza

---

szarlatańskie plakaty nawet na plecach obdzieranych przez siebie chrześcian!“

— „A cóż, wszelkiemi sposobami człowiek chleb sobie zdobywa“ — zauważył dobroduszny Sancho-Pansa.

— „Co prawda, to władza powinnaby wzbronić podobnej swawoli!“ — podchwycił rycerz posępnego oblicza, obróciwszy się do naszego kancelisty odwrotną stroną swej ponurej postaci.

Kancelista zaczął teraz przeklinać swój wybitny kostyum. Żałował, że zgodził się na upokarzającą propozycyę kramarza. Zdało mu się, że tysiące oczu drwiąco spoczywają na nim i że tysiące ust wykrzywiają się do pogardliwych słów: „Patrzcie — za marny pieniądz okrył się sromotą, stanął pod pręgierzem żydowskiej chciwości zysku!“ Jak węgle żarzące, zaczął palić go teraz ten napis kramarski, który po tysiąckroć piętnował hańbą każdą piędź jego ciała. Wykradłszy się z pośród tłumu, znalazł się nagle zdala od zgiełku i wrzawy, obok dość przestronnej niszy, przekształconej na sztuczną grotę. Jak stalaktyty, wisiały tu w górze przezroczyste kule i ostrosłupy przeróżnych form, a nieznane rośliny wodne podnosiły i pochylały swe olbrzymie liście ponad głęboką cysterną, w której złote rybki, połyskując, ścigały się we wszystkich kierunkach. W cieniu liści kołysały się na wysmukłych łodygach cudnej piękności kwiaty, napełniając grotę upajającą wonią, a miły chłód, powstający z wody, odświeżał rozpalone skronie.

Tutaj siadł nieszczęśliwy kancelista. Skłonił głowę na dłoni i patrzał z cierpkiem uczuciem w sercu na pstrą rzeszę, kręcącą się po sali. Wielki rozłożysty liść pochylił się nad jego głową i chłodnym, wilgotnym swym rąbkiem muskał rozognione czoło.

A przez to czoło przesuwało się obecnie pasmo gorzkich myśli. Tam oto wesołą się, żartują, szaleją, toną w wirze rozkoszy — a on biedny, znużony pracą kancelista, z sercem ścierplem i zwiędłem, jak serce temperowanych przezeń piór, zapędzony ich docinkami do tego zacisznego kącika! Raz w życiu chciał ograć się przy tym wesołym płomieniu, około którego oni pląsają ochoczo, lecz po pierwszym zapędzie zwiesił opalone skrzydła. Za piętno hańby kupił sobie wstęp do tego przybytku wesela, lecz hańba ta weszła z nim razem, wznosiła się i krążyła wokoło niego, a oni wyczytali ją dokładnie z każdej fałdy, z każdego ząbka jego szat i z pośmiewiskiem odwrócili się od eń. Więc powrócić znów do tego prochu, z którego tu przyszedł, do tego zabójczego pyłu kancelaryi, który wżera się coraz głębiej i głębiej do wnętrza jego istoty? Cóż to za życie! Przeszłość — to głód i nędza, strapienie wszelkiego rodzaju, rzadkie przebłyski szczęścia wśród ponurej nocy; przyszłość — to jedno pasmo zapisanych arkuszy, zepsutych piór i podartych rękawów. Z czasem posiwieje, jak te stare poszyty akt w archiwum i, jak one, stanie się w końcu łupem robactwa...

Głębokie westchnienie wyrwało mu się z piersi. Podniósł głowę. Lecz cóż to nagle mignęło przed nim? Czy to sen, czy rzeczywistość? Na jednym z wielkich zielonych liści siedziała dziewica, powabna jak sylfida, powiewna i wiotka, odziana w leciuchne szaty jasnych barw, z wzorzystym wachlarzem w delikatnej dłoni; lica jej nawpół przysłonięte były różową maseczką, lecz odkryta połowa jej twarzy i małe świeże usteczka były zapowiedzią powabów niewysłowionych. Nad czołem piętrzyły się bogate sploty włosów, przetykane świeżemi kwiatami. Niewymowny urok młodości rozlewał się po wysmukłej tej postaci, której zwieszona nóżka końcem złocistego trzewiczka igrała z przezroczystą powierzchnią wody.

Przekład z czeskiego

F. Now.

(Dokończenie nastąpi).

---

miejscowej; to też rzeczywiście srogość jej odczuwali na sobie sekciarze. Dziś jednak ich spokojne zachowanie się w rzeczywistości, niezależnie od teoryi i dążności wcielenia ideałów drogą tylko moralnego doskonalenia się jednostek, zjednały im spokój i tolerowanie ich przekonań.

Postępowanie to przyniosło już obecnie wielkie korzyści i dało możność urzeczywistnienia wielu użytecznych reform, ważnych w życiu ludu wiejskiego, a mianowicie odzwyczajenia go od pijaństwa, gdyż we wsiach sztundystów wszystkie karczmy zamknięte, wzbudzenia chęci do pracy i gospodarności, nienapotykanej wcale prawie we wsiach prawosławnych, do zakładania stowarzyszeń wzajemnej pomocy, kas i t. d. nakoniec, do zupełnego zreformowania stosunków rodzinnych. Despotyzm i brutalstwo zastąpiła równość i szczerość, małżeństwa układają się przez młodych bez udziału rodziców, zawiadamianych tylko o ślubie dzieci. W rodzinach sztundystów, opartych na miłości tylko, stanowisko żony różni się najzupełniej od stanowiska jej w rodzinie prawosławnej. Wogóle wszyscy, mający sposobność poznać bliżej sekciarzy, zgadzają się jednogłośnie, że pod względem moralnym, oraz w stosunkach rodzinnych i społecznych stoją oni niezmiernie wysoko, jak to zwykle zresztą bywa w początkowym okresie każdego nowego stowarzyszenia religijnego. Te same przymioty dawały się spostrzegać w poprzednich sektach racyonalistycznycznych rosyjskich, istniejących dotąd, chociaż bardzo już osłabłych, a z których sztunda bardzo ściśle złączona jest genetycznie, pomimo że bezpośredni początek dał jej kolonista niemiecki.

Znaczenie nowej tej sekty tem donioślejsze jest właśnie, że stanowi ona tylko najświeższą gałąź prądu racyonalistycznego, mającego już historyę kilkowiekową, gdyż dającego się poznać w sekcie t. z. „strigolników“ pskowskich i nowgorodzkich z XIV wieku, w ich kontynuatorach na pół judaistycznych z wieku XV, a mianowicie w sekcie „żidowstwujuszczych.“ Pierwsze nasiona przyniósł z sobą pewien żyd kijowski Schorja, przybyły do Nowgorodu w świcie namiestnika kazimierzowego ks. Michała Olelkowicza, dalej jednak w stronę już racyonalizmu rozwijał sektę djak (urzędnik kancelaryjny) Kuricyn, po powrocie z zagranicy, gdzie miał sposobność zaznajomić się z racyonalistycznemi ideami zachodniej Europy. Popularność sekty tej rosła coraz bardziej, arystokracya wyższa, dostojnicy kościoła, synowa wielkiego księcia Iwana III, Helena, przejęli się nową doktryną, odrzucali sakramenta i znaczną część obrzędów. Dopiero surowa działalność Hennadego biskupa nowgorodzkiego i namiętne a okrutne dzieła mnicha Józefa Wołockiego pobudziły w. księcia do srozszych środków przeciwko sekciarzom (na wzór Ferdynanda Katolickiego, jak powiada Hennady nowgorodzki) i osądzenia ich na soborze na spalenie i wygnanie. Idee jednak nie przestały krzewić się wśród ludu; i oto później spotykamy znowu dalszy ciąg tej herezyi, noszącej miano „sabotników,“ prześladowanych coraz bardziej, a zwłaszcza w ostatnie czasy za panowania cesarza Mikołaja, (ślady ich trwają dotąd na krańcach południowo-wschodniej Rosyi, dokąd byli wysyłani całemi masami); ale na ich miejsce zjawiają się znowu w guberniach środkowych „duchoborcy,“ i wydzieleni z nich „mołokanie,“ przesiedleni również w niezaludnione wówczas jeszcze stepy noworosyjskie, gdzie założyli swoje kwitnące kolonie. Ci ostatni, zdaniem specyalistów, wywarli szczególny wpływ na powstanie i rozwój sąsiedniej małoruskiej sztundy. Trudno zresztą obecnie skreślić szczegółowy a wierny obraz stosunku wzajemnego sekt, o których mówimy; nie ulega jednak wątpliwości, że zasady ich bardzo są do siebie zbliżone i że też same prawie pozostawiały one ślady w życiu rodzinnem i urządzeniach społecznych, przetrwały czasy wielkich a często wyrafinowanych prześladowań i w każdym razie świadczą wymownie, że i tendencye racyonalistyczne nie są obce narodowi rosyjskiemu, chociaż krzyżując się jednocześnie z tendencyami wprost przeciwnemi, nie mogą dać materyału do wyłącznych twierdzeń.

R.

Jerzy Stefenson.

(Dokończenie).

Wkrótce nadszedł czas, w którym Stefenson znalazł ze strony syna silną pomoc i poparcie w ulepszaniu parowozu i połączonych z niem pracach. Stefenson dał synowi wyższe wykształcenie, które sam tak mozolnie, jako samouk, zdobywać musiał. Zapisał go na członka towarzystwa literackiego i filozoficznego w Newcastel'u, aby mógł wraz z nim korzystać z należącego do tej korporacyi księgozbioru, co przy licznych zatrudnieniach czynił zazwyczaj w niedzielę. Studyowali oni tam wspólnie po większej części encyklopedye nauki i sztuki, oraz dzieła poświęcone mechanice i matematyce. Robert Stefenson, ukończywszy instytut naukowy w Newcastle, objął miejsce nadzorcy kopalni, pod kierunkiem N. Wooda, w celu obznajmienia się praktycznego z górnictwem.

Po ukończeniu praktyki górniczej, młody Robert, mając lat 19, wstąpił do uniwersytetu w Edynburgu, gdzie jednak tylko 9 miesięcy korzystał z wykładów (od października 1822 do lipca 1823), studyując głównie nauki przyrodnicze i matematykę. Pomimo tak krótkich studyów w tej znakomitej wszechnicy, otrzymał R. Stefenson stopień inżeniera, upoważnionego do czynności we wszystkich trzech częściach W Brytanii.

Jeszcze będąc w szkole newcastelskiej, Robert pomagał ojcu w pracach około ulepszeń lokomotywy i kolei żelaznej; odtąd też ojciec z synem ciągle się wzajem wspierali, jak dwa silne strumienie razem złączone, oddające na pożytek świata całą swoją siłę.

Po licznych ulepszeniach lokomotywy przez Stefensona (1815—1818) osiągnięte w niej zostały tak świetne rezultaty, że właściciele kopalni węgla w Hetton (w hrabstwie Durham), postanowili (w r. 1819) zamienić zwyczajną drogę szynową, biegnącą od ich kopalni do doków nad Wear'em, zamienić na kolej żelazną parowozową. Droga ta miała około 2 mil geograficznych. Inżenierem kierującym budową został Jerzy Stefenson. Dla zmniejszenia kosztów budowy, pozostawiono przerwę w pośrodku kolei, którą stanowiło wzgórze, przebywane jako równia pochyła. Przy otwarciu tej pierwszej kolei żelaznej było czynnych pięć lokomotyw, czyli „koni żelaznych“ jak je przezwano; przewiozły one w oczach zdumionych tłumów 17 wagonów, naładowanych węglem — wagi 64,000 kilogramów, z prędkością 6 kilometrów na godzinę. Rezultat więc był świetny, a maszynerya imponująca.

Kolejami żelaznemi zajmowano się podówczas tylko w owych okręgach węglowych Anglii. Najbardziej czynnym w tym kierunku, i to specyalnie co do kolei konnych, był Edward Pease (1817), akcyonaryusz kopalni węgla z Darlington. On to zawiązał pierwsze towarzystwo akcyjne drogi tramwajowej z Darlingtonu do Stocktonu nad rzeką Tees, którą węgiel mógł być transportowany aż do morza, co zapewniało ogromne korzyści. Bil zatwierdzający tę linię zapadł w r. 1821.

Podczas gdy Pease zajęty był urzeczywistnieniem swego tramwaju, Stefenson czynił starania, aby tę linię urządzić jako kolej żelazną według swego nowego systemu. Porozumiał się z Pease'm w r. 1821. Po uzyskaniu zmiany bilu w r. 1823, Stefenson objął budowę tej nowej linii, jako dyrektor główny, i jednocześnie, przy pomocy Pease'a, założył w Newcastle małą fabrykę lokomotyw, którą w rok potem (1824 r.) otworzył pod firmą swojego syna. Fabryka ta rozwinęła się zczasem do rozmiarów olbrzymiego zakładu, połączonego z międzynarodową szkołą praktyczną budowania lokomotyw.

Po wielu trudach i przeszkodach nadszedł nareszcie upragniony dzień otwarcia kolei z Darlingtonu do Stocktonu (27 września 1825). Niezliczone tłumy ludu zebrały się na miejsce odjazdu pociągu z kopalni węgla, w dolinie Bischop-Auckland, o dwie mile od Darlingtonu. Machina parowa wyciągnęła szereg wagonów po równi pochyłej, skąd je potem przyczepiono do parowozu „Locomotion,“ zbudowanego w fabryce Stefensona. Pociąg składał się z 34 wagonów, z których 12 naładowano w części węglem, w części mąką, do pozostałych zaś wsiadło 500 osób. Obawy niebezpieczeństwa, mogącego wyniknąć z powierzenia się straszliwemu „koniowi żelaznemu,“ nie ziściły się. Ładunek całego pociągu wynosił 90,000 kilogramów. Maszynistą był sam Stefenson. Przed pociągiem pędził jeździec ze sztandarem, na którym był napis: „Periculum privatum— utilitas publica.“ Stary rysunek przekazał wiekom widok tego pierwszego pociągu osobowego. W godzinę pociąg przybył do Darlingtonu. Lokomotywa Nr. 1, która tego cudu dokazała, stoi na piedestale na placu dworca kolei w Darlingtonie, jako pomnik chwały twórcy swego, Jerzego Stefensona.

W Darlingtonie odczepiono sześć wagonów z węglem i pociąg ruszył dalej, przybywszy w trzy godziny potem do Stocktonu. Uradowanym z powodzenia pierwszym pasażerom, wyprawiono na miejscu uroczyste przyjęcie.

Stefenson dostarczył również pierwszy wagon osobowy, bardzo prosty i wygodny. Był to rodzaj omnibusu o trzech małych oknach z każdej strony i drzwiach na końcu. Wzdłuż biegły ławki a środkiem rzecz zbytkowna, bez której się obecnie musimy obchodzić — wązki stół drewniany równoległy do ławek. Wagon ten nazwany był „Eksperyment.“

Już na tej krótkiej linii uwydatniły się świetne rezultaty przewozu kolejowego. Wywóz za granicę samego węgla kamiennego tą koleją obliczono rocznie na 10,000 tonn (po 1,000 kilogr.); po kilku latach jednak doszedł on do 50,000 tonn.

Podziwu godzien jednak był wielki ruch osobowy. Trudno sobie było wyobrazić, skąd się brały całe tłumy podróżnych. Z początku towarzystwo kolei wydzierżawiło przewóz osób przedsiębiorcy prywatnemu, który swoje wagony przewoził końmi za pewną opłatą czynszową. Tylko wielkie transporty węgla kamiennego przewoziły lokomotywy Stefensona; małe pociągi towarowe przeciągano za pomocą koni, które na części kolei schodzącej pochyło ku morzu były całkiem wyprzęgane. Wkrótce jednak ruch towarowy tak się powiększył, że lokomotywy objęły na całej linii wyłączne panowanie.

Nietylko ruch transportowy wzmagał się nadzwyczajnie; dobrobyt i liczba mieszkańców również na głównych stacyach tej linii z dniem każdym niemal wzrastały. Nad rzeką Tees powstało zupełnie nowe miasteczko — Middlesborough. W chwili otwarcia kolei znajdowała się na jego miejscu jedyna chłopska biedna lepianka. Wskutek olbrzymiego handlu węglem kamiennym Stockton świetnie zakwitnął. Pease i przezorni jego przyjaciele zakupili wielkie przestrzenie gruntów tam, gdzie

obecnie leży Middlesborough i założyli piękny port morski. W dziesięć lat po założeniu liczył on 6,000 mieszkańców, obecnie posiada ich przeszło 23,000. Pobliski Harthpool z 1,300 wzrósł do 15,000 mieszkańców.

Pierwszy projekt połączenia Liverpoolu i Manchesteru koleją żelazną powzięto w r. 1821. Ruch towarowy między temi dwoma punktami był podówczas tak wielki, że potrzeby transportowe zwyczajnymi środkami przewozu, lądowymi i wodnymi, już nie mogły być zaspokojone a przez to rozwój przemysłu bardzo był tamowany. Najprzód (w r. 1821—22) zamierzono zbudować tam kolej konną, wkrótce jednak (w r. 1824) pomyślano o dzielniejszym środku, jakim były lokomotywy Jerzego Stefensona. Towarzystwo utworzone w celu budowy kolei między Liverpoolem i Manchestrem, zaprosiło też niebawem Stefensona dla wymierzenia i zbadania tej linii. Była to ciężka i gorzka praca. Wszyscy współkonkurenci nowej kolei — jak akcyonaryusze kanałów i dróg bitych, furmani i karczmarze okoliczni, przez najpotworniejsze baśnie o strasznem niebezpieczeństwie owego nowatorstwa tak podburzyli lud ciemny przeciw geometrze, że napotykał on co krok niezmierne przeszkody, pogróżki i gwałty. Stefenson jednak nie dał się ustraszyć i nie cofnął się. Jego rozum i wytrwałość przezwyciężyły wszelkie przeszkody i niwelacyi szczęśliwie dokonano.

Ale trudniejsza aniżeli z przesądnym ciemnym ludem była walka z samolubami i możnowładcami z parlamentu. Wprawdzie towarzystwo nowej kolei miało tam gorących obrońców i protektorów, przemożna jednak partya miała większość za sobą i nie przebierała w środkach dogodzenia swym samolubnym widokom. Zaczęły się najrozmaitsze grymasy, zarzucano, że plan projektował zbyt wysokie koszty budowy, że... siła szyn była za mała, a szybkość jazdy... za wielka, chociaż proponowano tylko dwie mile geogr. na godzinę. Poruszono zazdrość fachowców inżenierskich przeciw sławnemu już Stefensonowi, nazywając go fantastą, chcącym urzeczywistniać niemożliwości.

Mimo to jednak, kolej biegnąca przez bagno torfowe z wielkim $2^1/_2$ kilometrowym tunelem od dworca Liverpoolu do Edgehill, była w krótkim czasie gotowa, gdy towarzystwo jej dopiero przy zakładaniu szyn zdecydowało się na zastosowanie do przewozu pociągów za pomocą lokomotyw parowych. Wielu bowiem zazdrosnych odradzało ich użycia, projektując przewlóczenie pociągów od stacyi do stacyi za pomocą machin stałych działających na dworcach.

Humorystycznem było gwałtowne starcie mówcy parlamentu, oponującego przeciw lokomotywom, który w zapale tryumfująco zawołał: „Czcigodni lordowie, gdyby naprzeciw pędzącej lokomotywy na szynach stanęła rozzłoszczona krowa — czyż sytuacya nie byłaby poważną?“

— „Bezwątpienia, poważną dla... krowy!“ odrzekł niewymowny Stefenson.

Już miało zapaść postanowienie, aby zaprowadzić użycie koni do przewozu wagonów czyli prosty tramwaj, gdy Stefensonowi udało się uzyskać pozwolenie wprowadzenia na linię lokomotyw sposobem próby.

Wymyślono jednak nową przeszkodę, postanowiono urządzić konkurs lokomotyw. Do wyścigów stanęły: „Rakieta“ Roberta Stefensona i Sp., „Nowość“ inżeniera Ericksona o kotle pionowym, „Wytrwałość“ Burstalla i „Niezrównana“ Hackwortha. Prócz tego niejaki Brandreth stanął z „Nogą Cyklopa“ lokomotywą poruszaną „risum teneatis“ przez... konia ukrytego w budzie!

Wyścigi wobec niezliczonych tłumów ludności trwały dziewięć dni na przestrzeni $2^1/_2$ kilometrów pod Liverpoolem. Każda z lokomotyw musiała tę przestrzeń przebiedz dziewięć razy tam i napowrót.

Lokomotywa Ericksona „Nowość“ na razie zdobyła sobie sympatyę publiczności swoim pięknym kształtem; wkrótce jednak popsuła się zupełnie i musiała z placu boju ustąpić: „Niezrównana“ rokowała dużo nadziei, jej budowniczy bowiem, Hackwort, był poprzednio majstrem w fabryce Stefensonów; mimo to jednak okazała się za ciężka, nigdy na czas nie była gotowa do jazdy, wreszcie jej kocioł i pompy w drodze znacznie się uszkodziły.

„Wytrwałość“ Burstalla wlokła się zbyt powolnie i wkrótce została ze wstydem wycofana.

„Rakieta“ Stefensona pod każdym względem odniosła zwycięztwo a dzień ogłoszenia nagrody był dlań prawdziwą uroczystością. Zawsze gotowa do drogi przybywała z największą punktualnością, lekka i zręczna jak koń. Nigdy nie brakło jej pary, zbudowana silnie i dokładnie nie potrzebowała ani razu naprawy. Wszystko to zapewniło jej tryumf stanowczy. Jerzy i Robert stefenson zaopatrzyli ją jakby w płuca, umieszczając wewnątrz kotła 25 rur dla płomienia, przebiegających przez wodę, co zwiększało nadzwyczaj wytwarzanie się i potęgę pary. Przytem komin wyrzucając parę zużytą, przedstawiał znakomity ciąg powietrza zasycającego ognisko kotłowe. Dwa te czynniki do dziś dnia są zasadniczemi Stefensonowskiemi podstawami budowy lokomotyw. Pierwszy pomysł przeprowadzania rur ogniowych przez wodę podał Séguin w r. 1828, ale dopiero Stefensonowie skutecznie je zastosowali.

Tak wielkie powodzenie „Rakiety“ rozstrzygnęło los lokomotywy na całą przyszłość.

15 września 1830 r. odbyło się uroczyste otwarcie kolei z Liverpoolu do Manchesteru. W obecności najwyższych dygnitarzów państwa. Prezes gabinetu książę Wellington, sekretarz stanu sir Robert Peel i inni liczni przedstawiciele rządu i parlamentu przybyli umyślnie, aby spróbować nowego stefensonowskiego sposobu komunikacyi. Około 600 pasażerów siadło do 8 pociągów, z których każdy ciągniony był przez stefensonowego „konia parowego.“ Z szybkością 5 mil geograficznych na godzinę przybyli wszyscy z Liverpoolu do Manchestru. W pierwszych dniach ruchu na tej linii liczba podróżnych wynosiła dziennie po 12—15,000 osób. W pięć lat potem kolej ta przewoziła corocznie przeszło milion podróżnych i ogromne masy towarów.

Następstwa wynalazku Stefensona były olbrzymie. Tylko statystyk specyalista zdolny jest ogarnąć kolosalne sprawozdania obecnych roczników kolejowych, tylko fachowy inżenier zdolny jest oryentować się w niezmiernej, ciągle coraz rozszerzającej się potężnej sieci żelaznych dróg łączących wszystkie kraje świata. Iście przygniatającą jest rozległa masa materyału kolejoznawczego. W 50 lat po otwarciu pierwszej kolei żelaznej z Stocktonu do Darlingtonu (w r. 1875), ogólna długość wszystkich dróg żelaznych ziemi wynosiła 39,000 mil t. j. blisko siedm razy wzięty obwód ziemi. Jak wielkie masy osób i ładunków przebiega po tych liniach corocznie, jaki powstaje przytem ruch towarów i pieniędzy, bujna wyobraźnia tylko zaledwie przedstawić sobie zdoła. Popęd zaś do tego jak lawina rosnącego ruchu dali Jerzy Stefenson i syn jego Robert.

Od czasu zaprzężenia do usług handlu świata stefensonowego rumaka ognistego, postępy mechaniki wprowadzały doń ciągłe ulepszenia. Pociągi towarowe wymagają innych parowozów jak osobowe, a parowóz kolei górskich różnym być musi od równinowego. Tylko systemat parowozowy mógł poddać się takim kombinacyom. Koleje powietrzne, w których pociągi parte są prężnością atmosfery, nie zadowolniły wszelkich wymagań, niewytrzymały próby.

Przeciwnicy systemu stefensonowskiego z początku okrzyknęli koleje powietrzne jako stanowiące nową epokę w tej dziedzinie. Robert Stefenson jednak wykazał wkrótce (w r. 1846), że ich zasada nie odpowiada celowi, a mianowicie wskutek zbyt wielkiego tarcia i niemożebności hermetycznego zamykania rury powietrznej. Kilka kolei powietrznych zbudowanych na próbę zamknięto niebawem na zawsze. Natomiast zastosowano z powodzeniem powietrze ścieśnione do ruchu posyłek listowych miejskich na mniejszą skalę.

Z geniuszu i wiedzy Stefensonów korzystała głównie Belgia. Jerzy był przez króla Leopolda I cztery razy wzywany do narad nad budową tamecznych kolei żelaznych (w r. 1835, 1837 i dwa razy w r. 1845).

We wrześniu 1845 r. zaprosiło go towarzystwo kolejowe do budowy w Hiszpanii kolei z Madrytu do zatoki Biskai.

Od roku 1840 już główny ciężar przedsiębiorstw kolejowych spoczywał na barkach syna Stefensonowego Roberta, jakkolwiek ojciec przychodził zawsze mu z radą i pomocą lub też jeździł za granicę wzywany do narad kolejowych. Od r. 1845 Jerzy cofnął się w swoje zacisze domowe w Tapton House pod Chesterfield, stanowiące węzeł wielkich kolei żelaznych. Tam poświęcił się cichemu rolnictwu.

Tapton House był ogniskiem szczerej gościnności, gromadzącem zwłaszcza mnóstwo znakomitości ze świata kolejowo-inżenierskiego, odwiedzał tam Stefensona również jego przyjaciel Robert Peel, geolog Buckland i wielu innych ludzi pierwszorzędnych.

W sierpniu 1848 zapadł Stefenson na silną gorączkę, po której nastąpiła apoplexya. Zmarł 12 tegoż miesiąca w wieku lat 67. Żałoba po nim była powszechna.

Towarzystwo kolei Liverpoolsko-Manchesterskiej wzniosło Stefensonowi posąg. Ale trwalszym nierównie pomnikiem dla niego będzie wielki wynalazek systemu kolei żelaznych, roznoszący wszędzie dobrobyt i cywilizacyę, godzien stanąć obok wynalazków Watta, Fultona, Guttenberga, Szyllinga, Gaussa, Webera i Morse'a.

S. Cz.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

F. A. Lange. Historya filozofii materyalistycznej, tom II, zeszyt VIII, przełożył F. Jezierski.

Nie zaznaczaliśmy już dawno ukazywania się części tego pomnikowego dzieła, mając zamiar pomówić o niem, gdy będzie ukończone. Zatrzymujemy jednak uwagę naszych czytelników przy zeszycie obecnym, gdyż on wkracza w dziedzinę współczesnych zagadnień filozoficznych, która stanowi może najciekawszą część dzieła Langego. Nie każdego w dostatecznej mierze interesują systematy do grobu złożone i posiadające historyczną jedynie wartość; ale każdego interesować muszą prądy współczesne, przepływające ciągle przez myśl naszą. Lange jest dla tego wybornym przewodnikiem w labiryncie najnowszej filozofii, że posiada nieporównaną bystrość krytyczną. Wysnuta zaś przez niego i do rąk czytelnikowi podana nić Ariadny jest dla nas tem potrzebniejszą, że namiętność walki zasad pomąciła zupełnie pojęcia i przekonania. Zwłaszcza gospodarujący w naszej literaturze klerykalizm poprzylepiał na najnowszych systematach etykiety ze znakami trucizn i odstrasza niemi nieświadomy rzeczy ogół. Książka Langego usuwa wiele nieporozumień, rozjaśnia wiele wątpliwości i daje czytelni-

kowi wyborną miarę sądu. Niezmiernie pocieszającym i prawie nieprzewidzianym faktem, jest liczny rozkup tego dzieła, świadczący o rosnącej w społeczeństwie chęci rozejrzenia się w filozofii przy krytycznem jej oświetleniu. Z prawdziwą przyjemnością dodać też winniśmy, że p. Feliks Jezierski jest godnym tłomaczem myśli Langego.

Henryk Müldner. Z nad brzegów morza północnego, Waszawa 1881.

Odbitki z *Wędrowca* dostarczyły literaturze naszej szereg oryginalnych lub tłomaczonych dziełek prawdziwej użyteczności. Świeżo ich liczbę pomnożyły zatytułowane wyżej wspomnienia z podróży. Autor zajmuje się głównie opisem Hamburga oraz kąpieli morskich Westerland na wyspie Sylt. Nie są to obrazy kreślone artystycznie, ale wiązka notatek nader pouczających. Główną pomiędzy niemi wartość posiadają spostrzeżenia przyrodnicze — zoologiczne i botaniczne. Müldner umie o każdym spotkanym gatunku zapisać ciekawe i charakterystyczne szczegóły, wciskające w pamięć znajomość natury. Blagi nie dostrzegamy ani śladu tam, gdzieby ona miała bardzo swobodne pole do popisu. Tak np. w rozdziale: polowanie na foki — zamiast nakłamać i odurzyć czytelnika obfitością zdobytego łupu, wyznaje szczerze, że myśliwi przeleżawszy w kapturach kilka godzin na mule i dla złudzenia fok nawywijawszy się nogami, powrócili z niczem do domu. Zawód ten wynagradza autor czytelnikowi opisem postaci i zwyczajów ciekawego raka, chodacznika biernatka, i innych znalezionych żyjątek.—Książeczkę tę, którą polecamy do bibliotek młodzieży, zdobią drzeworyty.

Dr. Gustaw Fritsche. O magnetyzmie zwierzęcym, Warszawa 1881.

Do napisania tej broszurki pobudziły autora doświadczenia Donata, których możliwem objaśnieniem głównie się zajmuje, wsparty wskazówkami Charcota i Heidenhaina. Powiadamy *możliwem*, gdyż p. F. nie poszedł za śladem improwizowanych „specyalistów“ i nie rozciął węzła gordyjskiego mieczem wszechwiedzy a z ogłoszeniem swych wątpień o hypnotyzmie Lucylli lekkomyślnie się nie pospieszył. Słuszna też robi uwagę: „Dwa nasze pisma lekarskie, zamiast, jako pisma naukowe, dać przykład rozwagi i wstrzemięźliwości w sądzie, potępiły ryczałtowo i doraźnie wszystkie doświadczenia Donata. Posypały się tedy wyrazy: kuglarstwo, kuglarz, produkcye cyrkowe etc. z pod pióra ludzi, którzy powinni umieć się rachować ze swemi wyrażeniami... Najsłabsza strona owych krytyk jest ta, że autorowie przyznają się do tego, iż nie mogli rzeczy dokładnie zbadać, a sąd ich tak jest stanowczy, jak gdyby był wyrzeczony na podstawie gruntownego obeznania się z przedmiotem.“ Dr. F. szczerze zakreśla granicę, w której jest *au bout de latin*—zagadki rozwiązać nie umie. Wolimy tę skromność, niż pyszałkowate wyrokowanie w ostatecznej instancyi tam, gdzie ostatecznych instancyj nie ma. Potrzebną też jest końcowa przestroga broszurki: „Nie bądźmy przejęci taką dumą i pychą i nie zaprzeczajmy istnienia tego zjawiska natury dla tego tylko, że go wytłomaczyć nie potrafimy; bo i Galvani narazie nie umiał sobie wyjaśnić, dla czego żaba na balkonie drgnęła, a jednak nie wstrzymało go to od dalszych badań nad tym przedmiotem. Gdyby lekceważył to zjawisko, którego wyjaśnić sobie nie umiał, i gdyby je był pominął milczeniem, kto wie, czy byśmy dziś mieli telegrafy, telefony etc.“ Kresu wiedzy nie widać, chociaż wleziemy na górę swej pychy.

W.

HISTORYA WŁOŚCIAN FRANCUSKICH.

(Очеркъ исторіи французскихъ крестянъ съ древнѣйшихъ временъ до 1789 года Н. Карѣева. Варшава 1881).

Jedną z najciekawszych stron rozwoju cywilizacyjnego ludzkości jest niezaprzeczenie krystalizacya społeczeństw, zapewniająca narodom możliwie obszerne swobody zbiorowe i osobiste. Szkoda, że historya, a raczej historyozofia, od niedawna dopiero zwróciła całą swą usilność w kierunku badania tych przejawów krystalizacyi społecznej, przewrotów socyalnych, które spowodowały, że w wielkim pochodzie cywilizacyjnym narodów nieprzerwaną, choć często biegiem wypadków tamowaną, obserwować możemy dążność do pociągnięcia coraz szerszych kół ludzkości do udziału w swobodach politycznych a przedewszystkiem do ekonomiczno-społecznej niezależności. Długiego też czasu potrzeba było dla przygotowania się w łonie społeczeństw owego wielkiego przewrotu, który na schyłku przeszłego stulecia, zerwawszy ostatecznie z pozostałościami prawno-rzymskiego ustroju i średniowiecznym porządkiem, zaznaczył nową erę cywilizacyjnego życia.

O ile w starożytności pojęcie państwa zaciera wszelką niemal indywidualność jego członków, a idea panowania klas na polu ekonomiczno-gospodarskiem jest uświęconą przez religię i obyczaje, o tyle wieki średnie przedstawiają nam się jako rozpadnięcie się państwa na tysiące odłamów, z których każdy, uprzywilejowany okruchami władzy państwowej, odrębną przedstawia całość i z resztą podobnych mu organizmów jedynie teoretycznem pojęciem hierarchicznego ustroju jest związany. To też zwłaszcza w tych czasach ciężkiej próby widzimy rozmaite kierunki, ścierające się w zamięszaniu powszechnem, rozmaite grupy ludzi socyalnej czy ekonomicznej natury, (stany, korporacye, cechy), starające się wywalczyć sobie uprzywilejowane i niezależne stanowisko. Widzimy też na schyłku wieków średnich (we Francyi już od XIII-go stulecia) jedne za drugimi społeczne warstwy narodu wydobywające się ze stosunku zależności od przywilejów i uprzywilejowanych na stanowisko ekonomicznej swobody i współudziału w rządzie państwa. Znaną jest dziś gruntownie historya wyzwolenia ludności miejskiej, która dzięki swemu skupieniu w stosunku do rozrzuconej na wielkich terytoryach wiejskich, dzięki ścierającym się żywiołom a mianowicie walce władzy królewskiej z możnowładztwem i możnowładztwa z buntującem się chłopstwem, zręczną intrygą i umiejętnem wyzyskaniem chwili, o kilka wieków uprzedziła dzielnych pracowników roli u pożądanej mety swobód osobistych i politycznych.

Jakkolwiek z chwilą, gdy ustrój feodalny wieków średnich przeżywać się począł, los ludności wiejskiej na zachodzie Europy znacznie się polepszył a nawet pod absolutnymi rządami XVI, XVII i XVIII wieków w prawnym stosunku względną pomyślnością się odznaczał, to jednakże ekonomicznie włościanie w upadku materyalnym się znachodzą, a przeciążeni podatkami i ciężarami państwowemi prawie żadnych prerogatyw politycznych przyznanych nie mieli. Potrzeba było tak silnego wstrząśnienia, jakiem był rok 1789 we Francyi, by na gruzach starego gmachu średniowiecznego społeczeństwa zakwitła swoboda wszystkich stanów, równouprawionych w dziedzinie indywidualnych zabiegów około utrwalenia własnego losu i zbiorowych usiłowań stworzenia nowej a silnie zbudowanej organizacyi państwowej.

W tej to dopiero chwili kwestya włościańska we Francyi ostateczne rozstrzygnięcie znalazła i następnie w innych krajach Europy z roku na rok zachodziła. Ten okres emancypacyi włościan w Europie przetrwał prawie do ostatnich czasów, tak, że zmarły cesarz Aleksander II był pierwszym w Rosyi, któremu cała ludność kraju wiernopoddańczą składała przysięgę, który wstępując na tron swych przodków w teoryi przynajmniej nie zastał stosunku socyalnej zależności i poddaństwa.

(Dokończenie nastąpi).

LIBERUM VETO.

Fabryka politycznych zabawek. — Nowy balonik „reform.“—Systemat prasowania okólników.—Regaty.—Ich strona atropologiczna i etnograficzna.—Wianki i kluby pływackie.—Broszura p. Pietraszewskiego i jego żądanie. — Objaśniające słówko. — Koniec świata i jego znaki.—Broszura „przyjaciela nauk przyrodniczych.“—Sprawdzenie się jego przepowiedni na naszem niebie literackiem.—Nowy świat z gliny własności większej.—Skutek prawa wyjątkowego. — Dziewica prostytutką. Kongres literacki.

Petersburskie *Nowosti*, ta niezmordowana fabryka politycznych zabawek zwanych „reformami,“ dostarczyły znowu i dla naszych dzieci baloników. Nie będę powtarzał opowiedzianej przez tę gazetę fantastycznej historyi mniemanych zmian w Królestwie Polskiem, bo zbyt czuć w niej odległość geograficzną między Warszawą a Petersburgiem, która astronomom prasy rosyjskiej nawet przez lunety nie pozwala dostrzegać wiernie objawów życia. Jako dowód np. owych zamierzonych, a nawet po części już spełnionych reform, *Nowosti* przytaczają, że od pewnego czasu wolno w teatrze warszawskim przedstawiać sztuki polskich autorów a w szkole wykładać religię po polsku. O ile mi wiadomo, pierwszy przywilej nigdy nas nie opuszczał i sztuki polskie przedstawiano tak samo w r. 1870 jak w 1880. Co zaś do wykładu religii, to nie nastąpiła żadna „reforma,“ tylko księża przypomnieli sobie a raczej przypomniano im, że jeśli chcą, mogą łaskawie zrobić użytek z języka polskiego. Wogólności byłoby dla całego państwa nader pożytecznem, gdyby prasa rosyjska porzuciła systemat sztucznego rozdymania zamiarów rządu, wynaleziony i szczególnie stosowany przez śpiący obecnie w letargu *Gołos*. Niech powstanie najskromniejsza komisya, niech się zdarzy najniewinniejsza podróż jakiegoś dostojnika, niech wyjdzie najostrzejsze rozporządzenie, natychmiast odzywają się bębny heroldów petersburskich, zapowiadających doniosłe „reformy,“ o których nikt nie myślał. *Agence Russe*, *Journal de St. Petersbourg* i *Praw. Wiestnik* nie mogą nadążyć w wystrzeliwaniu kaczek, pływających stadami po jeziorach prasy petersburskiej. Śmiech serdeczny ogarniał nas często, gdyśmy czytali komentarze *Gołosu* do nowych aktów prawodawczych, podanych w tem piśmie gwałtownemu prasowaniu dla wyciśnięcia z nich tego, czego w nich ani kropli nie było. Że to wytłaczanie odurzających i musujących win z gron ukazów i okólników, uznano za szkodliwe, dowodem los *Gołosu*, który odkrywszy tyle reform, nie w rojeniach opinii publicznej, ale w aktach urzędowych, musi za te szaluty przez sześć miesięcy pokutować. I po co to bałamucenie narodu kłamliwemi, wymędrkowanemi wieściami? Po co to wyciąganie na łożu Prokusta faktów do zbyt wielkiej miary? Nie wiem, co społeczeństwo rosyjskie mówi na malignę swej prasy, to pewna, że nasze wcale się nią nie uwodzi. Najjaskraw-

sze rakiety, puszczone przez dzienniki rosyjskie, nie ściągały u nas długiej uwagi.

Wolę już, niż w te bańki mydlane, wpatrywać się w ognie regat, urządzonych na Wiśle. Yacht-Klub wyprawił mało o nim wiedzącemu ludkowi warszawskiemu widowisko wyścigów łodziowych z poetycznem oświetleniem, słońcem elektrycznem i całym przyborem czarodziejstwa baletowego. Kto zwyciężył w biegu: *Anna* czy *Neptun*, mało nas obchodzi, ale obchodzić nas powinny dwie rzeczy: antropologiczna i etnologiczna strona tej zabawy. Co do pierwszej, zwracam uwagę mych ziomków na fizyczną budowę członków Yacht-Klubu: jeden w drugiego jak dęby — zdrowe, rosłe, silne. Mam w sobie jedną żyłkę Fryderyka W-o, mianowicie lubię i wierzę w tęgą rasę ludzi. Sądzę bowiem, że gatunek dzielnie ukostniony i umięśniony naprzód jest zdolniejszy do życia a powtóre wytrwalszy w walce o byt. Takiego gatunku nie zgryzą łatwo ani polityczno-filologiczne operacye, ani prawa wyjątkowe. Gdy widzę moich ziomków, mogących przełazić przez ucha igielne i dających się bez trudu nakryć kloszem, lękam się, czy zdołają znieść twarde warunki naszego... klimatu. Otóż proszę popatrzyć na członków Yacht-Klubu, co to za ciała! Można u nas jeszcze spotkać takie po wiejskich dworach, które nie opiekują się zbyt troskliwie słabszą połową ludu, przeciętny jednak typ zaludnienia, nielubiący ćwiczeń fizycznych i za dobrą radą ojców duchownych niszczący grzeszne ciało, jest mizerny. Przypuszczając, że gimnastyka wodna dodatnio wpływa na rozwój sił fizycznych, radzę moim rodakom zająć się nią starannie, gdyż dotąd, nie licząc przewożących się na Saską Kępę, sztukę pływacką uprawiają u nas niemal wyłącznie niemcy, anglicy, francuzi i rosyanie. To jest właśnie etnologiczna strona regat. Do banku, fabryki, wreszcie do towarzystw karcianych jeszcze się wciskamy, ale do Yacht-Klubu nie mamy narodowej pretensyi. Przypuszczam, że w obecnym jego składzie niema dla nas żadnej szpary, ale czemu nie wytworzyć innego, swojskiego stowarzyszenia, bez kosztownych łodzi i mundurów? Podczas gdy wszystkie narody wyzyskują sztukę pływacką dla fizycznego kształcenia się i zabawy, my... puszczamy w dzień św. Jana wianki na Wisłę i cieszymy się przechowywaniem tradycyi, którą, szczerze mówiąc, wytrwale podtrzymuje tylko kilka dziewcząt ze Starego Miasta i kilku rybaków. My, inteligencya, spłacamy dług zwyczajowi tylko wstępnymi artykułami w Kuryerach, w których pragniemy być poetyczni a jesteśmy obłudni. Bo udajemy, że nas te *wianki* istotnie cóś obchodzą.

I p. Pietraszewski lepiej by zrobił założywszy towarzystwo łodziowe, niż pisząc broszury: *O propagandzie zgody i unii czyli moralności publicznej w braterstwie słowian* (Warszawa 1881). Nieuznany ten dotąd przez nikogo prorok wezwał nas piśmiennie, ażebyśmy ocenili sprawiedliwie tę jego pracę i co dziwniejsza, przedrukowali jego list „w całości i dosłownie.“ Pierwszemu żądaniu uczynilibyśmy chętnie zadość, gdyby nowy wyraz „propagandy“ p. Pietraszewskiego zawierał cóś więcej, nad złajanie za nieprzychylny sąd pewnego redaktora, nieobchodzącego wcale czytelników naszych. Cały zatarg autora z przeciwnikiem jest dla „zgody unii czyli moralności w braterstwie słowian“ czemś tak drobnem, że o nim nawet wspominać nie warto. Co zaś do przedrukowania listu, w którym p. P. nauczony zawodem, usprawiedliwia się, że nie może redaktora *Prawdy* nazwać szlachetnym *apriorycznie* i dopiero nada mu ten tytuł *aposteriorycznie*, t. j. gdy spełnimy wszystkie jego wymagania, to nawet obawa stracenia owego tytułu nie może nas skłonić do zaprzątania uwagi czytelników „propagandą zgody i unii czyli moralności publicznej w braterstwie słowian“ oraz listem jej autora. Jeśli zaś on chce poznać nasze zdanie o swej pisarskiej działalności, wyznamy z żalem, że kategorye naszego myślenia politycznego i logicznego są zupełnie inne i że w potopie słów, p. P. drukowanych dużemi i małemi literami, nie ułowiliśmy dotąd wielu zdrowych rybek. Autor, którego dobre chęci szanujemy, powinien wprzódy się wyleczyć, nim zacznie „propagować.“

Może do czytelników moich nie doszła straszna wiadomość, która tem niemniej jest zupełnie pewną, mianowicie, że świat dobiega już swego końca. Wiadomość tę, na której rachunek chłopi w południowej Rosyi założyli rozpaczliwie ręce a w Bukowinie nie wychodzą z karczem, potwierdziła naprzód kometa Crulpa na niebie a potem również ogonem opatrzona złowroga gwiazda Goraja na horyzoncie *Kuryera Warszawskiego*. Zwłaszcza ukazanie się tej ostatniej, siejącej nagłą śmierć między postępowcami, nie pozostawiło w umysłach stróżów i straganiarek, obserwujących szczególnie zodyak *Kuryera*, żadnej wątpliwości, że kula ziemska wkrótce przepadnie. Dojrzał nieszczęsnego Goraja i jakiś „przyjaciel nauk przyrodniczych“ w Dreznie, bo wydał broszurę: *O zniknięciu ziemi w latach 1880 — 1885, oraz o jego znakach*. Jest prawie niezawodnem, że za główny *znak* autor uważa pojawienie się p. Goraja. Z przypuszczeniem tem zgadza się objaśnienie przyczyny nieszczęścia. Tkwi ona w tym fakcie astronomicznym, że „między r. 1880 a 1885 największe planety: Jowisz, Saturn, Uranus i Neptun najbardziej zbliżają się do słońca i jednocześnie wywierają nań wpływ, a za jego pośrednictwem na ziemię i mniejsze planety.“ Akurat się zgadza. Właśnie w obecnym roku największe planety naszej literatury, pp. Goraj (Jowisz), Litwos (Saturn), K. Grzymała (Uranus) i kronikarz *Gazety Warszawskiej* (Neptun) najbardziej zbliżyły się do słońca mądrości i wywierają wpływ na drobniejsze ciała dziennikarskie. I jak tu nie wierzyć w koniec świata? Pocieszmy się jednak. Kilka z wymienionych gwiazd, zakupiwszy plac po jednej ciągle gasnącej, ma — według zapewnienia pewnej prowincyonalnej gazety — stworzyć nowy, doskonalszy świat literatury, o którym już jakiś Bóg arystokratyczny rzekł: *stań się* i dla którego redakcyi już ma do stworzenia ludzi glinę. Gliny tej dostarczą grunta posiadłości większej. To też wierzmy, że taki świat długo istnieć będzie.

Gdy w Cesarstwie wybuchły pierwsze fale nienawiści do żydów, przypomnieliśmy w *Prawdzie* konieczność równouprawnienia tego żywiołu, któreby z jednej strony ubezpieczyło go przeciw roznamiętnieniu tłumu i rozsiało po całem państwie, a z drugiej nie tamowało procesu asymilacyi. Otóż twierdzeniu temu wymownej ilustracyi dostarcza *Niediela* w fakcie, powtórzonym i w naszej prasie.

Jak wiadomo odbywa się teraz w całej Rosyi rewizya praw żydowskich do zamieszkiwania rozmaitych miast, skutkiem której nieupoważnieni zostają wydalani. W Moskwie dozwolono mieszkać żydówkom, trudniącym się... hańbą. Między wieloma lekarz, dozorujący publicznego zdrowia, znalazł jedną, której zbadanie przeczyło możności oddawania się sromotnemu zawodowi. Dziewica w tym świecie — zjawisko zagadkowe. Zapytana nie chciała długo zdradzić tajemnicy, aż wreszcie wyznała, że chcąc pozostać w Moskwie dla... stenografii, osłoniła się pozorami i prawem... hańby. Czegóż tu jeszcze brak dla napisania wstrząsającego dramatu? Bądźmy jednak wdzięczni życiu, że dostarcza takich faktów: one bowiem jedne zdolne zamknąć usta takim jak *Nowoje Wremia* i tym podobna stęchła dziennikarska baranina.

19-go września odbędzie się czwarta sesya kongresu literackiego. Z powodu obniżenia na tę uroczystość kosztów przejazdu, wielu autorów wybiera się dla... obejrzenia Wiednia i zawadzenia o Szwajcaryę. Jednakże te kongresy literackie na cóś się przydadzą: dzięki im ludzie mogą się przewietrzyć i zobaczyć kawałek świata. A byłyby one nader pożyteczne, gdyby w dowód uznania za artykuł „Tendencyjność i Krytyka“ i na wniosek *Kuryera Warszawskiego* p. Goraj został prezesem honorowym Międzynarodowego Stowarzyszenia Literackiego — zamiast Wiktora Hugo. Bo p. Goraj stał się u nas już tak sławnym, jak „pewien finansista...“

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Szarada na długie wieczory. — Rabunek skarbony żydowskiej w Kałuszynie. — Czy reporter lichy, czy sąd niesprawiedliwy. — Mordercy zakonnika jasnogórskiego w masce inicyałów. — Lombard prywatny w Kaliszu. — 36% za mało. — Tajemnice ekonomiczne. — Zrównoważenie pożarów. — Urodzaje. — Wiarogodność korespondentów prowincyonalnych.

Na rozpoczynające się długie wieczory posyłam wam czytelnicy szaradę.

W mieście Kałuszynie — opowiada *Gazeta Warszawska* — obrabowano skarbonę w bóżnicy. Podejrzenie padło na Froima Orensztejna, Matysa Rozentala, Dawida Tenenbauma i Lejzora Fersztanda, których przytrzymano. W więzieniu siedział Wojciech Cypel, przed którym zaaresztowani *przyznali się* do winy a nadto Orensztejn dał mu list do niejakiego Oficynera z prośbą, ażeby ten namówił świadków do fałszywych zeznań. Wkrótce policya schwyciła inny list, wraz z poprzednim dołączony do sprawy. Przy badaniu sądowem dwaj świadkowie zeznali, że *widzieli* jak podsądni odrywali skarbonę, nie oskarżyli ich jednak z obawy zemsty. Członkowie dozoru bóżnicznego oświadczyli się również potępiająco. „Sąd — kończy *Gazeta Warszawska* — po wysłuchaniu obron wszystkich podsądnych od kary uwolnił.“ Czarno na białem — i nie działo się to wcale 1-go kwietnia. Szarada więc przedstawia się w tej postaci: albo *pierwsze* t. j. sprawozdanie *Gaz. Warszawskiej* jest błędnem, albo *drugie* t. j. wyrok sądu zapomniał, że podsądni się przyznali, że pisali potępiające ich listy i że świadkowie widzieli ich rabunek. Innemi słowy: albo reporter kiepski, albo sąd niesprawiedliwy.

Żałuję mocno, że za temże pismem nie mogę wam, czytelnicy, podać nazwisk morderców zakonnika jasnogórskiego. Mianuje ono bowiem ich grzecznie: M. M., M. R., I. C., K. C., A. K., U. B., B. S. — z czego tylko domyślać się można, że nie są żydami, bo by paradowali w całkowitym przyborze imion i nazwisk. *Gazeta* osłoniła ich troskliwie na wypadek, że może między nimi znaleźć się jakiś pobożny szlachcic, a co ważniejsza—jest przekonana, że „nie poniża się do propagandy tych lub owych przekonań,“ że przestrzega równouprawnienia wyznań i stanów. Cieszmy się, że mogłoby być gorzej; że nie czytamy np. szan. pan A. B. był łaskaw zabić starozakonnego Icka Mendla. Zawsze to postęp.

Jak wiadomo, niedawno wydane zostały przepisy dozwalające zakładania prywatnych lombardów. Otóż ktoś w Kaliszu skorzystał z tego prawa i zaczął pobierać—według korespondenta *Nowin* — 12% rocznie za pożyczki a 24% za przechowanie fantów. Razem więc 36%. Zdawałoby się, że to dosyć, tymczasem ku wielkiemu zdziwieniu przedsiębiorca zwinął kram, gdyż „praktyka go przekonała, że prowadzenie lombardu na takich zasadach się nie opłaca.“ Doprawdy wartoby wiedzieć, dla cze-

go? 36% „nie pokrywa wydatków i nie przynosi *pożądanych* korzyści“? Chyba owe *korzyści pożądane* przez lombardzistę były bardzo wygórowane. W życiu naszem zdarzają się tajemnice ekonomiczne, reszcie świata nieznane. Jedną z takich tajemnic jest właśnie historya owego lombardu, która zdaje się dowodzić, że 100, 200 i 300%, pobierane przez lichwiarzów — to są dopiero „korzyści pożądane.“ W zaklętem kole naszych stosunków ekonomicznych nie wiemy: czy cieszyć się z niepowodzenia lombardów prywatnych, czy też się smucić. Są one bowiem zawsze lichwą, nie zastąpią nigdy kas rzemieślniczych, zaliczkowo-wkładowych i oszczędnościowych, opartych na stowarzyszeniu, gdy jednakże kredyt ludowy u nas dopiero się rodzi, co ma zrobić biedak, potrzebujący ratunku?

Pytanie to coraz natarczywiej domaga się odpowiedzi od chwili, gdy kraj ogarnęły niegasnące płomienie pożarów. W tygodniu ubiegłym znowu klęska ta dotknęła kilka miejscowości. Na szczęście litościwy rok obfitymi plonami nagradza poszkodowanym straty i zażegnywa widmo drożyzny. Zbiory w ogólności przedstawiają się pomyślnie. W braku ściślej statystyki i w chaosie najsprzeczniejszych doniesień prowincyonalnych, trudno wyprowadzić jakiś pozytywny wniosek ogólny. Improwizowani korespondenci, sądzący o urodzaju w okolicy z kawałka żyta lub pszenicy za pierwszą lepszą stodołą lub ze spotkanej fury zboża, są bardzo niewiarogodnymi reporterami. O ile wszakże domysłem odgadnąć można, rok obecny należy do szczęśliwych. Gdyby nie ta jego szczodrość, biedacy z obawy głodu musieliby chyba po wywieszać się na sterczących po pogorzeli kominach.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 18 sierpnia.

Dwa fakty podzieliły się uwagą świata politycznego: wyborcza mowa Gambetty i bil irlandzki. Francuski prezes Izby posłów, po wielu wahaniach, wymacywaniu opinii za pośrednictwem swych gazet i oracyj przygodnych, postawił wreszcie, jako kandydat do mandatu z paryskiego Belleville'u następujący program: głosowanie z listy, zmianę wyborów Senatu, zniesienie prawa rozwiązywania Izby poselskiej przez Senat i prezydenta Rzeczypospolitej, reformę sądowniczą, trzechletnią służbę wojskową, bezpłatne i bezwyznaniowe a przymusowe kształcenie, decentralizacyę armii a centralizacyę polityczną. Dotąd dobrze. Najostrzejszą jednak przyprawą mowy, w której wyborcy głównie zasmakować mieli a którą teraz przeżuwa cała prasa europejska, był ustęp dotyczący polityki zagranicznej. „Dziś Francya— rzekł Gambetta — należy tylko do siebie i o tem jedynie myśli, ażeby w sobie się skupić i ześrodkować, ażeby odzyskać urok i być wynagrodzoną za swe postępowanie. Nadejdzie chwila, w której zagadnienia polityczne rozstrzygać będzie prawo narodów i duch pokoju. Dziś tylko miecz je rozcina, ale słuszność ma także swoje znaczenie, a kto odważy się twierdzić, że nie nadejdzie dzień powszechnej zgody?... Mam nadzieję, że kiedyś majestat prawa narodów powróci nam oderwanych braci.“

Ostatni ten frazes wywarł silne wrażenie na słuchaczach a zagranicy, zwłaszcza niemcom, dostarczył niewyczerpanego materyału do oburzeń, szyderstw lub protestów. Cokolwiekbyśmy mniemali o zaborze Alzacyi i Lotaryngii, przyznać musimy, że nadzieja odzyskania tych prowincyi wybiegła z ust Gambetty na skrzydłach dziecięcej naiwności lub... kuglarstwa. Gdyby o powrocie utraconych braci „na mocy prawa narodów“ marzył jakiś zakochany w urokach przyszłości i obojętny na termin spełnienia się wróżby filozof, nie mielibyśmy nic przeciwko podobnemu proroctwu. Ale polityk praktyczny, człowiek znający sprężyny czynu w maszynie politycznej i naturę swych przeciwników, wyrażając taką nadzieję, wystawiłby sobie patent wielkiej niedojrzałości, gdyby... nie potrzebował z niej zrobić wędki dla zyskania wyborców. Gambetta wiedział, że puszcza fajerwerk migotliwy i niedorzeczny, ale wiedział także, że bez wzmianki o utraconych braciach sympatyi wyborców nie osiągnie, że jest to punkt, którego dotknąć należało patryotycznie. Krzyknąć: *allons enfants!* było wobec zagranicy niebezpiecznie, więc wynalazł taką formułę, która zadowoliła słuchaczów i nie rozdrażniła nieprzyjaciół, mianowicie błysnął nadzieją zgodnego odzyskania Alzacyi i Lotaryngii. Jakie warunki urzeczywistnienia się ma ta nadzieja, przekonywają krzyki dzienników niemieckich, które z oburzeniem pokazują apostołowi pokoju i zgody— zęby. Ponieważ jednak Gambecie w tej chwili bardziej chodzi o prezesostwo w gabinecie niż o utraconych braci a celu swego dopnie, więc go zęby niemiec nic nie przerażają.

Nareszcie bil irlandzki, nawędrowawszy się z jednej Izby do drugiej, pokaleczony poprawkami przez lordów, został przyjęty. W czasie rozpraw szlachetni panowie Anglii nie mogli dostrzedz baltazarowych głosek, wyrytych ręką nieubłaganego czasu na ścianach ich ziemskiego panowania i położyli na ranę społeczną liść głuchej pokrzywy, który jej nie zagoi. O ważnej tej sprawie pomówimy osobno i szczegółowo.

Koła agitacyi wyborczej w Niemczech ciągle warczą, zwłaszcza od chwili, gdy główny maszynista warsztatu wyborczego, ks. Bismarck, powrócił do Berlina. *Norddeutsche Allg. Zeitung* aż ochrypła z ujadania na żywioły liberalne. Pan gnat jej za to rzuci — ale czy mu nawet ta nagroda się opłaci?

H.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. W Petersburgu, dla zaprowadzenia oszczędności w budżecie państwa, postanowiono, aby ministerstwa przy ustanawianiu rocznych wydatków przewidywały wszelkie możliwe pozycye; w razie zaś koniecznej, nadzwyczajnej potrzeby, przy staraniu się o kredyty, dodatkowe, władze na przyszłość winny nadmieniać: 1) co spowodowało, że owe wydatki nie weszły do rocznego już zatwierdzonego budżetu; 2) czy nie można wydatków owych nieprzewidzianych odłożyć do przyszłorocznego budżetu i 3) czy nie można obrać na cel potrzebny innych sum przez etat postanowionych i nieużytych.

— W Kijowie odbyła się ścisła rewizya praw żydów do przemieszkiwania w tem mieście. Wielu z nich, obchodząc prawo, nabywało nielegalnie pozwolenia pobytu, a obecne wydalenie ich masami prowadzi do niechybnej ruiny.

— Na pomnik Mickiewicza zebrano dotychczas 36,000 złotych reńskich.

— Stowarzyszenie kobiet chrześciańskich niemieckich przestało istnieć z niewiadomych powodów.

— Prasa rosyjska poruszyła kwestyę przestrzegania w praktyce zasady nietykalności sędziów, zagwarantowanej ustawę sądową 1864 r., a często obchodzonej.

— W Brześciu litewskim wielki pożar; dwa kwadraty zabudowań spłonęły ze szczętem.

Kongres literacki międzynarodowy. Staraniem stowarzyszenia *Concordia*, zostającego pod prezydencyą p. J. Nordmana, członka komitetu honorowego towarzystwa, zapewniona jest członkom kongresu najrozleglejsza gościnność. Uzyskane też zostały bardzo znaczne dogodności i obniżenia kosztów przyjazdu — wszystko to jednak zależy od liczby członków kongresu.

Prezesi kongresu: *J. M. Torres-Caicedo, Ludwik Ulbach, W. Chodkiewicz*, sekretarz jeneralny towarzystwa *Juliusz Lermina*.

Pod dyskusyę członków kongresu oddane będą następujące kwestye.

I. O postępie dokonanym w przyjęciu i zastosowaniu zasad przez poprzednie kongresy uznanych, a w szczególności o wyniklej w następstwie konwencyi międzynarodowej, dla protekcyi własności literackiej — jak również i artystycznej.

II. O ujednostajnieniu rozmaitych prawodastw niemieckich co do własności literackiej.

III. Studyum o prawodawstwie rosyjskiem, w sprawie własności literackiej, a w szczególności co do prawa reprezentacyi.

IV. Studyum nad konwencyami literackiemi międzynarodowemi pomiędzy państwami, których ludność używa tego samego języka, a w szczególności pomiędzy Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonemi Ameryki północnej, oraz pomiędzy Portugalią i Brazylią.

V. O uprzedzeniach, według których typy cudzoziemskie są w ogólności przedstawiane w utworach literackich każdego narodu.

VI. O stowarzyszeniu literackiem międzynarodowem i o środkach praktycznych dla rozprzestrzenienia jego działalności i zapewnienia jego rozwoju.

Członkowie kongresu są rzeczywiści i honorowi.

Członkami rzeczywistymi z głosem decydującym w dyskusyi o wszystkich kwestyach są:

1) Członkowie stowarzyszenia literackiego międzynarodowego.

2) Delegowani rządów.

3) Delegowani towarzystw pokrewnych stowarzyszeniu.

4) Literaci i publicyści specyalnie zaproszeni do współudziału w pracach kongresu — na odpowiedzialność biura stowarzyszenia.

Członkami honorowemi z prawem obecności na posiedzeniach publicznych i przyjmowania udziału w dyskusyach z głosem doradczym są:

1) Przedstawiciele prasy w charakterze sprawozdawców.

2) Objawiający chęć uczestniczenia w kongresie, a nienależący do żadnej z kategoryj wyżej wymienionych. Panie są też dopuszczone.

Członkowie rzeczywiści odbiorą, staraniem stowarzyszenia — bilet biały, członkowie honorowi — kolorowy.

Wszyscy członkowie kongresu do jakiejkolwiek kategoryi należący — z wyjątkiem przedstawicieli prasy występujących w charakterze sprawozdawców — winni wnieść opłatę w wysokości 25 franków, poczem otrzymują karty wejścia, na mocy których będą mieli prawo do przejazdu po cenie zniżonej kolejami żelaznemi i po ukończeniu kongresu do publikacyj odnoszących się do prac sesyi obecnej.

Językiem urzędowym jest francuski — ale członkowie kongresu mają prawo przemawiania w języku narodowym.

Posiedzenia otwarte zostaną dnia 20 września, a sesya zamkniętą będzie najpóźniej d. 29 tegoż miesiąca.

Program uroczystości i zabaw z okazyi kongresu w Wiedniu odbyć się mających:

19-go września (wieczór) — zebranie i przyjęcie w sali balowej.

20-go — uczta wydana przez municypalność Wiednia.

21-go — wyprawa do Kahlenbergu nowym Dunajem.

22-go — przedstawienie teatralne galowe.

23-go — wycieczka do Semmeringu — obiad wydany przez towarzystwo dziennikarskie *Concordia*.

24-go wieczór pożegnalny — kolacya wydana przez towarzystwo *Concordia* — koncert.

Komitet stowarzyszenia międzynarodowego literackiego.

Nauki. Na kongresie lekarzy międzynarodowym w Londynie dr. Heryng z Warszawy odczytał rozprawę *O zwężeniach krtani*, która znalazła wielkie uznanie.

— W Paryżu otwartą została wystawa elektryczna międzynarodowa w związku z kongresem powszechnym elektryków.

— W Regensburgu urządzono kongres antropologów niemieckich.

— Trzecia kometa, która niedawno odkrytą została przy pomocy teleskopu, znajduje się w znaku Ostrowidz; ma ona być widzialną wkrótce gołem okiem.

— Na posiedzeniu paryzkiej Akademii napisów, profesor Maspero zdał sprawę z ważnych bardzo wykopalisk historycznych w Egipcie: Aleksandryi, Tebach i Sakkarach.

— Profesor Virchow na kongresie lekarzy w Londynie miał mowę w obronie wiwisekcyi, przyjętą z wielkim zapałem.

Przemysł, handel i komunikacye. Pomiędzy Berlinem i Charlotenburgiem zaprowadzono komunikacyę telegraficzną podziemną.

— Długość całej linii kolei iwangrodzko-dąbrowskiej wynosi wiorst 421, roboty na gruncie jej już rozpoczęto.

Literatura niemiecka. Ahlborn. *Ueber Berechnung von Summen vom grössten Ganzen auf geometrischen Wege.* Hamburg.

— Bronn. *Klassen und Ordnungen des Thierreichs wissenschaftlich dargestellt in Wort und Bild.* Lipsk.

— Buchenau. *Flora der ostfriesischen Inseln.* Norden.

— Döllen. *Perpetuum mobile oder Welt, Erde und Mensch, Entwurf einer kosmologischen Stabilität-Theorie.* Ryga.

— Fritz. *Das Polarlicht.* Lipsk.

— Gumplowicz. *Rechtsstaat und Socialismus.*

— Pohlman. *Beiträge zur Umgestaltung des höheren Schulwesens.*

— Schettler. *Der Turnunterricht im gemischten Volksschul-Klassen im 23 Abbildungen.*

— *Annalen des Reichsgerichts,* Sammlung aller wichtigen Entscheidungen des Reichsgerichts.

— Bismarck. *Ausgewällte Reden* gehalten in den Jahren 1862—1881, mit einer biographischen Skizze, sowie mit orientirenden Einleitungen und Anmerkungen und einem Anhang enthaltend Reden des Abgeordneten v. Bismark-Schoenhausen aus der Jahren 1847—1852.

— Conrad. *Die Prioritaets-Abtretung in ihrer Wirkung auf Zwischen-Hypotteken.*

— Freudenstein. *Die Rechtskraft* nach der Reichscivilprocessordnung und ihre Wirkungen auf die subjectiven Rechte, Honnover.

— *Die Gesetzgebung* des deutschen Reiches. Erlangen.

— Hälschner. *Das gemeine deutsche Strafrecht systematisch dargestellt.* Bonn.

— Jacobi. *Gold und Silber* im Landes und Weltverkehre. Lipsk.

— Katz. *Ein Grundriss des kanonischen Strafrechts.* Berlin.

Literatura angielska. Biddle. *Elements of knowledge.* Cincinati, str. 245.

Teatr. Po raz pierwszy przedstawiono w Warszawie w teatrze Alhambra komedyę M. Wołowskiego *Genialni ludzie.*

— Teatrowi warszawskiemu przyznano 30,000 rs. indemnizacyi za przerwę w widowiskach na wiosnę z powodu żałoby rządowej.

— Nowy teatr letni przy ulicy Królewskiej przerobiony z dawnego Alkazaru przedstawia się bardzo pokaźnie.

— P. Sembrich-Kochańska została zamówiona na przyszły sezon do opery włoskiej w Petersburgu.

Nekrologia. W Wilhelmowie pod Warszawą zmarł Józef Natanson bankier i kupiec warszawski.

— We Wrocławiu zmarł znakomity gynekolog profesor Szpigelberg.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Z. J. To wszystko znaczy sz. panie, żeś zajęty wykrzyknikami nie doczytał zdania: „To też pomimo i t. d." do końca. Jest tam małe słówko *jeżeli,* które uwadze pańskiej polecamy. W ogólności mniej humoru w tej sprawie byłoby Pana uchroniło od nieporozumienia.

P. X. Y. w Piotrkowie. Początek tej komedyi zwyczajny, ale koniec tak wesoły, że śmielibyśmy się po zapadnięciu kurtyny serdecznie, gdybyśmy publicznie śmiać się mogli. Sprobujemy to uczynić później.

P. I. P. w Mohylenie. Przeoczyliśmy to pytanie w liście pańskim. Dr. Talko w Zwenigorodce.

P. A. J. w Zasławku. Musimy zrzec się dochodzenia, bo wobec zakomunikowanego przez Pana faktu, tracimy ślad wszelki.

Dr. S. Sedn. w Międzyrzeczu wołoskim. Prenumerata wniesiona została 12 b. m. na kwartał. W tych dniach komplet wysłany.

P. K. W. w Warszawie. Czytaliśmy tylko ustępami. W każdym razie jest to notatka bardzo ciekawa i do bijografii Kraszewskiego tem pożądańsza, że p. Brzostowski widocznie z nim poprzyjaźniony i miał sposobność zebrać wiele szczegółów. O jego wiarogodności nie mamy żadnego powodu wątpić. Różowych okularów w takim stosunku ustrzedz się trudno.

P. Michał. w Łodzi. Była wzmianka przed dwoma tygodniami. O prospekcie szerzej mówić niepodobna. O ile nam wiadomo, p. S. jest jednym z najbardziej doświadczonych hodowców owiec, jego więc wydawnictwo może być bardzo pożytecznem, gdyż oprze się niezawodnie na eksperymentach krajowych.

Pani A. M. Poruszyliśmy tę kwestyę, chociaż ogólniej, w dzisiejszym numerze. Nie potrzebuje nam Pani wykładać zasług Orzeszkowej, bo my je dobrze znamy i cenimy. Jest to pisarka, która zdobyła sobie prawo do bardzo zaszczytnego miejsca w naszej literaturze. Energia i żywotność jej myśli tem piękniej i wyraziściej się odbijają, że mają w naszej prasie takie blade i martwe tło.

P. Wład. Z. w Petersburgu. Tom musielibyśmy napisać, chcąc Panu na wszystkie pytania odpowiedzieć. Traktat Milla *O wolności* liczymy do tych książek, które ratowalibyśmy naprzód z pożaru literatury całego świata. Poemat Staszica *Ród ludzki* nie zawiera filozofii oryginalnej, ala przesiąkły jej najświeższemi w owym czasie ideami. Są ustępy wzniosłe — tylko forma wiersza łamie często tok myśli. Wydanie drugiego dzieła w dodatku do *Prawdy* przedstawia pewne trudności, które staramy się usunąć. *Data of Ethics* wyszły po francusku i niemiecku oraz streszczone w czasopiśmie *Myśl* po rosyjsku. Dzieło Taine'a ma wydać *Biblioteka najcelniejszych utworów.*

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Sprostowanie. W artykule *Obywatel polski etc.* — Nr. 33, str. 388, łam 2, wiersz od dołu 20 — zamiast *posępnej,* wydrukowano błędnie: *postępnej.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 7 Августа 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.